AS



Nr. 28
12 LIPCA 1936 ROKU
CENA 40 GROSZY

WŚRÓD FALUJĄCYCH KŁOSÓW...

INTERNATIONAL PRESSE PHOTO

NASZ KONKURS
na najnieprawdopodobniejsze głupstwo

Głos z zaświata.

Cicha noc lipcowa skłoniła mnie do wędrówki poza stare mury, okalające od wieków małe miasto prowincjonalne na Pomorzu. Księżyc w pełni — magicznem światłem oblewał całą okolicę. Nagle spostrzegłem na krawędzi muru zbliżającą się białą postać, z wzniesionemi rękoma ku miesiącu — jakby każdej chwili miała się wznieść w przestworza. Wiedziałem, że patrzę na lunatyka i w mgnieniu oka zrodziła się myśl, która zrealizowana — bezsprzecznie przyczyniłaby się do wynalazku o ogromnem znaczeniu praktycznem, nie mówiąc już o potwierdzeniu sensu bajek o latających czarownicach, dywanach i gnomach.

Niezwłocznie, chcąc wykorzystać siłę promieni księżyca, udałem się do domu — a mając pod ręką dwa silne podkowiaste elektromagnesy, przystąpiłem z zapałem do doświadczenia. Celem zmniejszenia grawitacji ciała ku ziemi, ustawiłem ujemne bieguny elektromagnesów naprzeciw siebie, a między biegunami dodatnimi a ujemnemi każdego magnesu wstawiłem zaporę izolacyjną w postaci zwierciadeł wklęsłych, które biegnące fale elektromagnetyczne — ujemne — skierowały naprzeciw siebie. Na tych falach umieściłem w pełnem świetle księżyca blaszkę z glinu — powleczoną miedzią i — stał się cud... przedmiot zawisł w powietrzu! W ten sposób otrzymałem zapomocą współczynników — fal elektromagnetycznych i promieni księżyca punkt — w którym nie istniało ciężenie ku ziemi. Zachęcony tem doświadczeniem, w skrytości przed okiem ludzkim, stworzyłem kulę o cienkiej ścianie z glinu — powleczoną cienką warstwą miedzi na drodze elektromagnetycznej o takiej wielkości, że sam miałem w niej wygodne pomieszczenie. Równocześnie zbudowałem dwa silne elektromagnesy, dla których czerpałem prąd z przewodów silnego napięcia które przypadkowo przebiegają opodal mojego domu.

Nareszcie nadeszła upragniona pełnia księżyca. Między ujemnymi biegunami elektromagnesów ze zwierciadłami wklęsłemi, które to wieczorem w odpowiedniej odległości ustawiłem w ogrodzie. wtoczyłem kulę i umieściwszy ją na odpowiednich izolatorach — sam wszedłem do jej wnętrza. Z drżeniem włączyłem prąd — uskuteczniając to przez okienko, które znajdowało się w ścianie kuli. Dla oświetlenia dodam, że celem odprowadzenia elektronów dodatnich z powierzchni kuli, które w czasie działań fal elektromagnetycznych ujemnych, pojawiały się na zewnętrznej jej warstwie, ustawiłem opodal kuli kondensator, którego zadaniem było ściąganie tych elektronów dodatnich. Wkrótce też osiągnąłem wymarzony cel. Kula — naładowana ujemnie — unosiła się powoli, odpychana przez ziemię, która sama w sobie posiada ogromny ładunek ujemny — a równocześnie odczułem silne działanie promieni księżyca, — które nie czując oporu — przyciągały kulę w górę. Przez chwilę zawisłem z kulą w polu magnetycznem elektromagnesów — a potem wznosiłem się coraz wyżej i coraz szybciej. W końcu byłem pod władzą jedynie promieni księżyca i z zawrotną szybkością leciałem ku górze, który widziany przez okienko, przybierał rozmiary kolosalne. Niestety, jako laik, nie przewidziałem takiego wzlotu i nadszedł tragiczny moment. Powyżej stratosfery — kula, wskutek swej kruchości, rozprysła się w próżn na pył — a ja sam, tam wysoko, przypłaciłem mój wynalazek życiem. Zapewne do dzisiaj krąży wokoło ziemi moje ciało — wspólnie z licznymi meteorami — do czasu, aż ząb wieków nie obróci mnie w proch. Możliwie, że w amerykańskich teleskopach widać mnie jako kometę — ale to już jest sprawa podrzędna w tem opowiadaniu.

Teraz zapytają się Szanowni Czytelnicy, jak mogłem powyższe napisać, gdy duch mój błądzi w przestworzach? Otóż i za światem dusza moja nie ma spokoju. Zostałem onegdaj zaproszony przez silne medjum na seans do metapsychicznego instytutu w Paryżu i tam „zeznałem" powyższe słowa ze specjalną prośbą, ażeby to pismo zostało ogłoszone na łamach Kochanego „Asa". Jeszcze dużo mógłbym napisać o możliwości wszechstronnego wyzyskania tego wynalazku — lecz niestety siły mego medja są na wyczerpaniu więc... żegnam!

Skarszewy.

„Szukaj wiatru w polu".

Jak zwykle, tak i dziś zebrała się spora gromada znajomych u pana Zajączkowskiego, aby posłuchać dziwnych jego przygód myśliwskich.

Pan Zajączkowski począł opowiadać: „Dziwna zdarzyła mi się ubiegłej zimy przygoda, może najdziwniejsza z wszystkich. Bawiłem właśnie na polowaniu, gdy spod nóg wyskoczył mi szarak i z taką szybkością pomknął w pole, że cień, który przez chwilę mu towarzyszył, nie mógł nadążyć i pozostał za nim daleko w tyle. — Co to mogło być?... — myślałem sobie, gubiąc się w gąszczu domysłów... — Tak długo gubiłem się w domysłach, aż się zgubiłem. Począłem więc szukać się, a sprawiało mi to wielką trudność, gdyż jestem małego wzrostu. Uciekłem się więc do pomocy radja i gazet... napróżno.

Od roku szukam się i nie mogę się znaleźć..."

Zapalniczka.

Pewnego razu późnym wieczorem wracałem do domu w towarzystwie pana S... Z oddali nadciągała burza ciężarna ulewą, grzmotem i błyskawicami. Pan S... wyjmuje papierosy, ale okazuje się, że żaden z nas nie posiada zapałek ani zapalniczki. Trzymamy więc papierosy w ustach — niezaradnie oglądając się wokoło — gdy naraz... błysnęło się i — o dziwo!... Nasze papierosy poczynają się tlić!

Cóż się okazało? — Oto błyskawica zapaliła nasze papierosy, spełniając lojalnie rolę zapalniczki i — mało tego — jeszcze naelektryzowała tutki do tego stopnia, że dziś wystarczy jeno dotknąć papierosa, aby spowodować jego samozapalenie się przez przeskok iskry elektrycznej.

Obr. Stef., Drążdżewo.

Dziwny wąż.

Pożar! Auto straży pożarnej pędzi jak zwarjowane. Prawo pecha: przed samem przybyciem na miejsce, auto straży wpada na drzewo i rozbija się. Ulega zniszczeniu pompa i prawie wszystko z wyjątkiem węża. Ale cóż wart sam wąż bez pompy? Niespodziewanie w tępej stosunkowo mózgownicy naczelnika straży rodzi się genjalny pomysł. Pędzi więc do menażerji, która gościnnie rozbiła obok swe namioty, ładuje na furę 5-cio metrowego boa dusiciela, daje mu zjeść 100 straszliwie nasolonych królików, następnie wkłada boa — dusiciela głową do płynącej obok rzeki. Na skutek olbrzymiego spożycia soli wąż boa ma kolosalne pragnienie i ciągnie wodę lepiej, jak jakąkolwiek patentowana pompa. Naczelnik straży wkręca ogon boa w węża pożarniczego, woda bucha, a boa pije i pije. Pożar został ugaszony.

Wł. Zabierowski.

Lew przewodnikiem.

W czasie ostatniej podróży księcia Yorku do Afryki, wyprawa, której byłem członkiem, przeżyła ciężką przygodę, która, dzięki mojej przytomności, zakończyła się szczęśliwie.

Wyruszyliśmy na polowanie na lwy. Jakiś pech prześladował od początku naszą wyprawę, bo przez kilka dni z rzędu nie mogliśmy natrafić na ślad lwa. W tej pogoni za zwierzyną zabrnęliśmy w głąb dżungli i straciliśmy orjentację. Wody do picia zabrakło. Na jakiekolwiek bądź najwstrętniejsze nawet bajoro nie mogliśmy trafić. Rozpoczęło się męczące błądzenie w poszukiwaniu wody. Wreszcie wyczerpani Anglicy postanowili umrzeć flegmatycznie po angielsku. Rozbiliśmy obóz i spokojnie oczekiwaliśmy śmierci z pragnienia. W nocy, tuż obok obozu usłyszeliśmy przerażający ryk lwa. Był to jakby drwiący śmiech, hymn pogardy i zwycięstwa króla pustyni nad człowiekiem, który pewny swej siły szykował mu śmierć i sam ją znalazł. W tym momencie przyszła mi do głowy zbawcza myśl. Wybiegłem poza ogrodzenie i począłem lwa drażnić. Lew rzucił się na mnie, a ja — spokojnie pozwoliłem mu się połknąć tak, że żadna moja kosteczka nie została naruszona. Po tej. smacznej uczcie lew ryknął zwycięsko i pobiegł w głąb nocy. Po chwili usłyszałem przyjemne chłeptanie i poczułem na twarzy świeżą wodę. Radość moja nie miała granic, bo oto przekonałem się, że słusznie przypuszczałem, iż, po uczcie zaofiarowanej przeze mnie, lew pobiegnie do wodopoju. (Mięso białego jest słone). Tuś mi bratku — powiedziałem i w jednej chwili rozprułem mojemu lwu brzuch nożem, który miałem przy sobie. Wydostałem się na świat Boży i postawiwszy nogę na łbie konającego króla pustyni, wydałem okrzyk triumfu myśli nad siłą.

W kilka chwil potem sprowadzeni Anglicy wcale nieflegmatycznie nie tylko pili, lecz także kąpali się w świeżej źródlanej wodzie.

Leszek Srebrny.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 28 **Niedziela 12 lipca 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 28-GO:



Ostatnie występy naszego znakomitego tenora Jana Kiepury dosłownie zelektryzowały całą Polskę. Każda bowiem pieśń, czy arja, wykonywana przez śpiewaka w operze, lub na estradzie koncertowej, czy wkońcu nawet na ulicy jest momentalnie podchwytywana przez mikrofony, które ją przekazują na wszystkie polskie anteny radjowe. I tak od szeregu dni — jak kraj nasz długi i szeroki — brzmi porywający śpiew Kiepury, którego słuchają nietylko tysiące bezpośrednich słuchaczy, ale setki tysięcy posiadaczy aparatów radjowych. Po wielkim sukcesie na Wawelu przyszła kolej na występy w stolicy, która entuzjazmuje się sztuką śpiewaczą Kiepury i przyjmuje go wszędzie niezwykle owacyjnie. Na zdjęciu: Kiepura w partji malarza Cavaradossiego, w trzeciem akcie „Toski" na deskach Teatru Wielkiego w Warszawie. Fot. „As".

GRAFIKA XI. OLIMPJADY

Zalety organizacyjne Niemiec ujawniają się sprężyście również w propagandzie graficznej tegorocznej Olimpjady. Kierownictwo zawodów olimpijskich zmobilizowało najwybitniejszych artystów dla przeprowadzenia propagandy igrzysk olimpijskich, które — jak wiadomo — odbędą się w Berlinie od dnia 1 do 16 sierpnia.

Przypominamy sobie przeładowane ornamentami i symboliką plakaty sportowe, rozpowszechniane do niedawna w Niemczech. Przez długi okres plakaty chybiały swego celu. Artyści byli bądźto nie przygotowani do przedstawienia motywów sportowego życia w sposób przekonywująco jasny i podporządkowany zasadom graficznej kompozycji, bądź też nie umieli wyzyskać elementów sztuki graficznej, niezbędnych w sportowym plakacie. Przypominamy sobie owo natłoczenie symbolicznych znaków, niepowiązanie graficzne luźnych przedmiotów sportowych i dziwaczne stosowanie wianuszków, nie wiążących kompozycyj w jedność, lecz ją rozbijających. Pomiędzy plastykami a sportowcami rozgorzała walka o supremację idei. Sportowcy żądali wierności w odtwarzaniu ruchów i anatomicznych szczegółów, zaś plastycy bronili swej niezależności twórczej i bagatelizowali tematykę. Dopiero dziś w epoce olbrzymiego rozkwitu grafiki współcześni artyści zdają sobie sprawę z użycia właściwego koniecznych elementów tematowych, rozwiązanych w sposób harmonijny i odpowiadający wymaganiom zasad graficznej kompozycji.



Włoski plakat sportowy.





Na lewo: Plakat olimpijski, wydany w r. 1912 z okazji zawodów w Sztokholmie. Powyżej: Zawody olimpijskie w Los Angeles w r. 1932 ogłoszono efektownym plakatem.

Artyści wiedzą, iż jeśli plakat ma spełnić swą propagandową rolę, musi 1) chwytać spojrzenie przechodnia (posiadać tak zwany Blickfang), 2) zaciekawiać kompozycją, 3) radować oko harmonją oraz intensywnością użytych barw. To też w nowych plakatach, zwłaszcza francuskich, widzimy niezwykły postęp. Dawną czczą ilustrację, lub mętny fotomontaż zastąpiła prostota, naturalność, jasność kompozycji i żywa kolorystyczna gra, oraz celowe i wyraziste umieszczenie napisu.

Plakat sportowy stał się potężną bronią propagandy sportu, który udoskonala współczesna twórczość graficzna.

Ale nietylko plakat zaprzągnięto w służbę propagandy sportu.

Maleńki znaczek pocztowy odgrywa obecnie poważną rolę w tej dziedzinie.

Nie minęło jeszcze 100 lat od narodzenia pierwszego znaczka pocztowego, powstałego w Anglji w r. 1840. W pierwszym okresie bytu marki pocztowej umieszczano na znaczkach jedynie podobizny władców państw. — W okresie rozwoju kolonjalnej idei poczęto umieszczać na znaczkach pocztowych widoki krajów kolonjalnych i ich osobliwości. W emisji artystycznej znaczków pocztowych przodowały Stany Zjednoczone, które pierwsze dały cykle obrazów minjaturowych, rytych w stalorycie, a przedstawiających historję walki o zdobycie niepodległości Stanów Zjednoczonych. Również i produkcja angielskiej poczty odznacza się wielką pomysłowością i artystyczną formą wykonania, zwłaszcza znaczków zamorskich kolonij brytyjskiego imperjum.

Zasługą greckiego zarządu poczty było wprowadzenie propagandowego sportowego czynnika do znaczków pocztowych w czasie pierwszej olimpjady, odbytej w Atenach w roku 1896. Pierwsza serja olimpijska składała się z 12 znaczków, ilustrujących w klasycznym stylu skomponowane sceny starożytnych zawodów olimpijskich. Kompozycje te zaprojektowali: prof. Gillieron, Stich i E. Mouchon. Greckie znaczki sportowe stały się sensacją w filatelistycznym świecie i przyniosły zarządowi poczty greckiej pokaźny dochód, który zachęcił to państwo do wydania już w r. 1906 nowej serji znaczków, złożonej z 14 egzemplarzy, wykonanych w technice stalorytowej, a skomponowanej również w charakterze klasycznym. Znaczki te przedstawiały postaci Apollina, Herkulesa w walce z Atlasem, atletów i inne sceny skomponowane w owalu.

Do roku 1920 nikt nie naśladował poczty greckiej. Dopiero w okresie wielkiego rozwoju sportu, tj. po ukończeniu światowej wojny, Belgja przystąpiła do wydania w r. 1920 z okazji odbytej w Antwerpji siódmej olimpjady serji znaczków, złożonych z trzech wartości po 5, 10 i 15 ctm., sprzedawanych za dopłatą po 5 ctm. pobieraną nie na potrzeby sportu, lecz powiększenie funduszu zapomogowego belgijskich inwalidów wielkiej wojny. Również belgijskie znaczki skomponowano w stylu klasycznym i na takich motywach. Przedstawiały one kwadrygę, dyskobola i biegacza.

W roku 1924 Francja wydała cztery znaczki pocztowe z okazji odbytej w Paryżu ósmej olimpjady, według projektu E. Beckera, Stricha, E. Daussy, C. Parisona. W tej emisji po raz pierwszy odstąpiono od klasycznej maniery i wprowadzono ilustracyjny motyw lokalnej propa-



Na prawo: Plakat olimpijski, wydany w Stanach Zjednoczonych w r. 1932.

gandy Paryża. — Znaczki tedy przedstawiały sportowe wyczyny na tle widoków Łuku Triumfalnego, Katedry Notre Dame i innych widoków Paryża.

Wielkim postępem w dziedzinie filatelistyki sportowej była serja niderlandzkich znaczków, zaprojektowanych przez grafików Fokko Meessa i Oswalda Wenckenbacha z okazji dziesiątej olimpjady, odbytej w roku 1928, w Amsterdamie. Jeden ze znaczków przedstawiał personifikację poczty. Znaczki wykonane w jasnych tonach, w offsetowym druku należą do wzorowych kompozycyj — Następną emisją pocztowych marek były trzy wydane przez Stany Zjednoczone w r. 1932 z powodu dziesiątej olimpjady, odbywanej wówczas w Stanach Zjednoczonych. Znaczki te wykonała w miedziorycie niezwykle solidna drukarnia „Amerykańskiego Banku Emisyjnego". W kompozycji nie odbiegały od tradycyjnego stylu pięknych amerykańskich znaczków pocztowych.

W bieżącym roku Niemcy wydały z okazji zimowej olimpjady w Garmisch-Partenkirchen 11 znaczków, wykonanych według projektu monachijskiego grafika Maxa Eschla. W tych kompozycjach Eschl ilustrował w naturalistyczny sposób sportowe życie, podkreślając graficznem ujęciem piękno wyczynów sportowych, wykonywanych przez mężczyzn. Zarząd poczty niemieckiej pobierał przy sprzedaży dopłatę na cele organizacyj olimpijskich zawodów. Znaczki wykonano w stalorycie i głębodruku.

Wysoce ciekawym był pomysł wydawania t. zw. sportowych marek zwycięstwa, przez państwa, które chlubiły się zdobyciem najwyższych sportowych nagród w olimpjadzie. Pierwszym krajem, który wydał markę zwycięstwa, był Urugway.

Bułgarja z okazji bałkańskiej olimpjady, odbytej w r. 1931, wydała również udatną serję 7 znaczków, wykonanyw w druku offsetowym. Spowodu niskiego nakładu serja tych znaczków osiągnęła bardzo wysoki kurs na światowej giełdzie filatelistycznej. Zarząd poczty bułgarskiej, chcąc nasycić rynek, wypuścił w 1933 roku nową serję ze zmienionemi barwami.

Portugalja, chcąc zdobyć koszta na pokrycie swej olimpijskiej ekspedycji, wydała w 1928 roku serję, złożoną z dwóch znaczków. Pomysł ten jednak spodziewanego finansowego rezultatu portugalskiej poczcie.

Czechosłowacja w 1925 roku w czasie olimpijskiego kongresu w Pradze wydała w głębodruku, serję specjalnych znaczków z podobizną prezydenta Masaryka.

W r. 1932 Szwajcarja, pielęgnująca bardzo energicznie propagandę sportu wśród młodzieży, wydała serję trzech znaczków, poświęconych tej idei.

Również Węgry puściły w obieg w roku 1925 serję, złożoną z 8 znaczków sportowych.

Jugosławja zaznaczyła swą obecność na rynku filatelistycznym, wydając w roku 1932 serję pamiątkowych znaczków pocztowych, wykonanych z powodu wioślarskich zawodów, odbytych w tym roku w Beglradzie. Niestety wykonanie techniczne jugosłowiańskich znaczków w litografji, było bardzo słabe.

W latach 1933 i 1936 emitowała austrjacka poczta znaczki, propagujące sporty zimowe. Również Włochy w roku 1933 i 1934 rozpowszechniły z okazji zawodów sportowych bardzo artystycznie wykonaną serj znaczków pocztowych. Z zamorskich krajów wydały sportowe znaczki zarząd pocztowy republiki Costa Rica w r. 1924, Kuba w 1930, Manilla i Filipiny w r. 1934.

Widzimy, iż mały znaczek pocztowy stał się poważnym środkiem propagandy sportu i braterstwa ludów, współzawodniczących ze sobą w zdobyciu fizycznej sprawności. Artyści w dobie upadku stalugowego malarstwa zdobywają w maleńkim znaczku światową sławę i uznanie.

Żałować należy, iż w tem współzawodnictwie państw, poczta polska nie dotrzymuje kroku. Poza znaczkami, poświęconemi pamięci asów naszego lotnictwa Żwirki i Wigury, nie wydano dotychczas żadnych innych.

M. Dienstl-Dąbrowa.







Na lewo: Znaczki o tematach sportowych. W linjach poziomych od góry: Bułgarja, Grecja, Austrja, Włochy, Szwajcarja, Irjandja i U. S. A. (w jednym rzędzie), Węgry, Kuba. Na prawo: plakat olimpijski z r. 1928, wydany z okazji zawodów zimowych w St. Moritz.



Na lewo: Znaczki pocztowe wydane przez (w rzędach poziomych) Grecję (pierwsze trzy rzędy), Belgję, Francję, Holandję, U. S. A., Niemcy.



Poniżej: Zawody FIS-u w Insbrucku w 1933 r. dały asumpt do skomponowania pięknego plakatu.

O TAŃCZĄCYM FILOZOFIE

I STAROŻYTNYCH GIRLSACH



Powyżej: Taniec Bajader według płaskorzeźby hinduskiej z XII-ego wieku przed Chr.

„W radości człowiek wymawia słowa. Słowa mu nie wystarczają, przedłuża je więc i moduluje. Słowa modulowane znów nie wystarczają, zanim się obejrzał ręce jego zaczynają robić gesty, nogi przytupywać".

To zdanie, wyjęte ze starej księgi chińskiej, zdaje się wyrażać, w sposób najsłuszniejszy i najbardziej przekonywujący, pochodzenie tańca i jego właściwe znaczenie. Ruch, tak dziwny i obcy dla tych, którzy mu się tylko przyglądają zdala, — zdaje się wypływać z instynktu, jednego z najpotężniejszych w naszej fizjologji, u tych, którzy mu się swobodnie oddają. By zgłębić jego pochodzenie należałoby sięgnąć dalej niż sięga wszelka historja, do tej chwili, gdy człowiek pierwotny oddaje mu się, odkrywając w sobie pęd i potrzebę poruszania się w pewnym rytmie.

Żaden ślad, żaden dokument nie stwierdza, że taniec jest choronologicznie pierwszą ze sztuk. Wypływa to jednak z logiki zdarzeń: jeżeli napływ siły życiowej, pęd, rozmach zmusiły człowieka do szukania ujścia, do znalezienia odpowiedniej ekspresji — wydaje się rzeczą zupełnie normalną, że zaczął je tłumaczyć tym instrumentem, który miał natychmiast „pod ręką" — swojem własnem ciałem.

Któż nie odczuł na wieść o czemś radosnem tej szczególnej potrzeby wewnętrznej, która nas zmusza do skakania, warjowania, rozbijania się? — To jest taniec, taniec najprostszy, ale już taniec.

Przechodząc różne koleje losu, taniec się zmieniał, odmieniając skórę, oblicze i charakter. Ale pozostał zawsze rytuałem, który nie może zniknąć. Wyraża on bowiem jedną z najgłębszych potrzeb natury i bezwątpienia jedną z najpiękniejszych, jest bowiem najzupełnie bezinteresowny.

Niemniej jest to ciągle instynkt, rzecz jednak ciekawa i wspaniała przytem, że, gdy się ten instynkt zaspakaja, gdy się wyzwala, staje się już czemś innem, emanacją najzupełniej czystą naszej osobowości. Zmienia się wtedy w dzieło sztuki.

Gdybyśmy tak dalej i dalej dociekali dziejów tańca — doszlibyśmy do stworzenia grubego tomu historji jego, która znów jest tylko częścią historji obyczajów i tak przeszlibyśmy poprzez historję sztuki do historji kultury. Zresztą obszerną historję tańca (coś około 500 stron) napisał Oska Bie kilkadziesiąt lat temu, mniejszą nieco, a piękną książeczkę wydał ostatnio Francis de Miomandre.

Zachowując więc odpowiedni dystans, obierzemy drogę niepomiernie krótszą i prostszą. Zatrzymamy się na kilku znanych postaciach starożytności i zbadamy ich stosunek do tańca. Odszukamy również pochodne dzisiejszych zespołów girlsowych. Bo, chlubimy się wielu zdobyczami i mamy do tego słuszne prawo, jednak w dziedzinie sztuki niewiele posunęliśmy się naprzód.

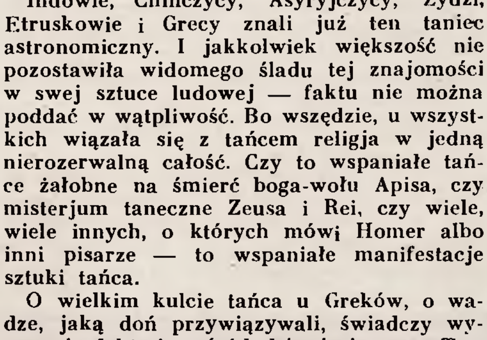
Ale — wszystko pokolei.

Pierwsi zatańczyli taniec astronomiczny kapłani Ozyrysa w starożytnym Egipcie. — Ołtarz umieszczony w środku świątyni wyobrażał słońce; celebranci obracali się dokoła niego zgodnie z ruchem ciał niebieskich. Było w tem dużo z nauki poglądowej. Ciekawe jednak, że na pierwszym lepszym dancingu tańczący posuwają się w tym samym kierunku, zachowując w środku puste miejsce — miejsce symbolicznego ołtarza-słońca.

Indowie, Chińczycy, Asyryjczycy, Żydzi, Etruskowie i Grecy znali już ten taniec astronomiczny. I jakkolwiek większość nie pozostawiła widomego śladu tej znajomości w swej sztuce ludowej — faktu nie można poddać w wątpliwość. Bo wszędzie, u wszystkich wiązała się z tańcem religja w jedną nierozerwalną całość. Czy to wspaniałe tańce żałobne na śmierć boga-wołu Apisa, czy misterjum taneczne Zeusa i Rei, czy wiele, wiele innych, o których mówi Homer albo inni pisarze — to wspaniałe manifestacje sztuki tańca.

O wielkim kulcie tańca u Greków, o wadze, jaką doń przywiązywali, świadczy wymownie fakt, że wśród dziewięciu muz, Terpsychora, muza tańca, była, żeby tak powiedzieć, kierowniczką grupy. Bo całość, ową dziewiątkę, wyobrażali sobie Grecy, jako tańczącą grupę, jako... zespół girlsów!

Niema zatem nic dziwnego w tem, że ludzie poważni, myślący, stateczni, jak wybitni prawnicy czy filozofowie, zajmują się tańcem czynnie. Oto np. Lykurg, prawodawca grecki, a tłumacząc to na język zrozumialszy, „prezes komisji kodyfikacyjnej", autor sensacyjnych projektów ustaw — jest ojcem chrzestnym jednego tańca, nazwanego Hormos. Taniec ten zbierał całą sportową młodzież miasta w niezwykle radosną procesję.



Powyżej: Tanecznice perskie, malowidło z r. 3000 przed Chr.

Wszędzie zresztą, każdy ślad sztuki greckiej, ukazuje nam boginie i bogów tańczących, albo... udających się na dancing. Nic więc dziwnego, że pragnąc się zbliżyć do swych boskich pierwowzorów i ideałów, Grecy tańczyli, tańczyli jak dziś rzadko kto. „Sokrates tańczący", jak nazwał jeden ze swoich tomików Juljan Tuwim — to żaden wymysł, ani dowcip autora; to fakt historyczny, któremu nikt nie usiłuje zaprzeczać.

„Ów mędrzec cudowny nietylko tańce lubił i ciągłe pochwały im dawał, lecz nawet będąc w wieku podeszłym, sam się chciał uczyć tańczenia" — tak mówią o Sokratesie kronikarze i historycy. „Będąc starszym, chodził na tańce do Akademji, gdzie je publicznie uczono" — powiada kronikarz-komentator.

Trudno jednak, mimo pełne uznanie dla znakomitego filozofa, wstrzymać się od komentarzy. Starszy pan, przenosząc to na stosunki dzisiejsze, profesor filozofji na uniwersytecie ateńskim (wonczas słynnym), niski, przysadzisty, z bródką, w chlamidzie, niezbyt dobrze zakrywającej ciało, uczący się w „tancbudzie" (choćby nawet Akademją szumnie się zwała) — to niezbyt poważne ze strony profesora, a widok niezbyt budujący.

Ale, mój Boże! ganimy Sokratesa, a wszak nie tak dawno wszystkie pisma ilustrowane przyniosły fotografję siwego już „genjalnego kpiarza" z Wysp G. G. Shaw'a, wywijającego nogami w takt charlestona.

Wydaje mi się zatem, że to nic nowego, a jednak...

Jednak Sokrates posunął dalej swą ekstrawagancję. Posłuchajmy dalej, co Xenophont opowiada o Sokratesie:

„Do pewnego domu w Atenach, gdzie liczne zebrało się koło znajomych„ przybył i mędrzec Sokrates. Zastawiono wieczerzę, wzięto się zaraz do uczty, gdy wtem przyszedł młody jeden Syrakuzanin razem z grajkiem, flecistą i z innym jeszcze cudownej urody młodym a zgrabnym tancerzem. Gdy inni jedli przy stole, grajek zagrał, a młody i ładny chłopiec począł wnet tańczyć dla ubawienia zebranych gości zręcznością a sztuką. Była tam z niemi i pewna ładna dziewczynka z niezwykłym darem tańcze-



Powyżej: „Egyptian girls", płaskorzeźba z r. 2500 przed Chr.

nia. Zręcznoć jej była i zwroty zadziwiające: podano jej zaraz 12 krągłych obręczy, a ona, rzucając w górę każdą zkolei, chwytała do ręki, wszystkie 12 rzucając ciągle do góry; to samo robiła i z sztyletami ostremi. Sokrates widząc te sztuki dziewczynki, tak się wkońcu rozweselił i przejął, że choć filozof a nawet nie młody, powstał i począł sam obręczami rzucać".

Ekstrawagancje Sokratesa nie mogą być dostatecznym dowodem na to, że taniec był w powszechnej u Greków czci. Gdyby nie sporo innych dowodów, możnaby pomyśleć, że to kaprysy niemłodego dziwaka. Ale oto Plato naprzykład: dla tego filozofa taniec był odruchem na piękno. W dziełach jego znajdujemy takie zdanie: „...gdy dusza spostrzega piękno na ziemi, wnet już całutka przejmuje się dreszczem tajemnym, jakąś niezmierną obawą"! Wiadoma rzecz: Plato miewał zawsze tajemne dreszczyki w księżycowe noce.

Cytując jednak Platona, Sokratesa, czy Lykurga, elitę umysłową ówczesnej Grecji, czynimy błąd, bo taniec nietylko do nich się ograniczał. Ogarniał on i wojskowych wyższych stopni, bo oto Epamimondas (ówczesny generał dywizji), ów bohater tebański, który z uśmiechem umrzeć potrafił, nietylko tańczyć umiał, ale był słynnym... gigolo! Temistokles znów (inny generał), będąc młody, piękny, uczył się tańców, po bitwie zaś wygranej koło Salaminy tańczył nago około trupów poległych. Nasuwający się sąd współczesności nie byłby zbyt przychylny dla greckiego bohatera; pachnie to zlekka makabrycznością!

Taka lekcja zresztą doskonale wpływa na ludzi. Mistrz Lesfonax Mytilenaeus uważał, że gdy wracał z tańców do domu był rozumniejszy i lepszy.

Mędrców i sofistów zwano tancerzami, nic więc dziwnego, że gdy chciano o kimś powiedzieć coś dobrego, pochwalić za czyn dobry lub mądrość — mówiono o nim, że „dobrze tańczy". Dzisiaj, jakąby to reakcję wywoływało?

Grecy zresztą, biorąc wzór z bogów swych, nie mogli się inaczej niż oni zachowywać, nie mogli gonić za wikszą doskonałością, niż miał Apollo, którego zwano „Saltatorum rex" — królem tancerzy. A że cała szanowna boska rodzina z bliższymi i dalszymi krewnymi tańcowała, o tem mówi Pindar. Jowisz ponoć na jakiemś weselu na Olimpie do tego stopnia się rozhasał, że nie zauważył, jak Juno, boska małżonka, zwiała gdzieś w pląsach z młodzieńcem. No i burza z gromami gotowa.



Na prawo: A oto zespół współczesnych girls w strojach z początku XX-ego wieku. Fot. Polonsky, Hollywood.



Poniżej: Taniec grecki o charakterze sakralnym, według ściennego malowidła.

Po burzy następuje pogoda, radość — zbliża się święto Djonizosa. Ten karnawał starożytny, który ma wiele odpowiedników u innych ludów: w Azji święto Adonisa, w Rzymie Bacchanalje — był orgją prawdziwą. Ludzie nic nie robili, tylko się tańcom oddawali. W pochodzie karnawałowym zjawiały się Satyry, odziane w skóry zwierzęce, w towarzystwie ciągle pląsających, prawie nagich, Bachantek. A pozy, jakie przyjmowali, nie były skromne, a w czasach największego wyuzdania, za takie uchodzić nawet nie mogły.

Tu zresztą ruch zaczyna degenerować. Rzymianie występują ostro przeciw tańcom: Cycero uważał, że człowiek z zdrowym rozsądkiem nie powinien tańczyć, „chyba warjat tylko!" Tańca wyrzekli się Żydzi, potem Ojcowie Kościoła go potępili. Terpsychora została zwolniona z „obowiązku".

Ale tylko chwilowo. Pamięć o niej przetrwała, ożyła tradycja girlsów. Dziś nietrudno znaleźć na scenie lub scence dziewięć muz, z Terpsychorą na czele, tańczących dokoła Apolla, Nereidy z Amphitrionem, czy wreszcie chór tańczących Oceanid, pocieszających Prometeusza na pustkowiu.

Tylko — dziś nazywa się to mniej poetycznie...

L. R. F-in.

CZY ZNASZ TIVOLI?

Wszystkie rysunki L. Tyrowicza.



Po prawej: Fragment parku willi „d'Este".

Czy znasz Tivoli? Prawdziwe Tivoli, zaczarowany krąg srebrzystych fontan i wodospadów, wciągające cię w głębokie cienie swych ogrodów rozkosznym chłodem i przedziwną muzyką rozkołysanej wody?

Gdy w Rzymie upał staje się dokuczliwym, rozgrzany asfalt i mury męczą płuca, ucieczka do Tivoli to zbawienie i emocja estetyczna niebylejaka. Należy zostawić zachwyt nad Wenerą kapitolińską na ranną porę a podziw dla fontan Trevi czy Esedra na późny wieczór, gdy potęguje ich urok sztuczna iluminacja i udać się kolejką lub autem 40 km poza rozdyszany w kanikule Rzym, ku wzgórzom sabińskim. Niema chyba wiele miast, posiadających tak liczne i rozmaite w efektach piękne okolice, jak „wieczne miasto". Dla żądnych kąpieli morskiej stoi otworem o pół godziny drogi od Rzymu szeroka plaża w Ostia-Mare, najbardziej demokratyczne kąpielisko w Italji. Dla miłośników górskich widoków pasmo albańskie lub sabińskie, dla zwolenników kontemplacji i marzeń nadmorskie jeziora Albano lub Nemi, dla malarzy i zakochanych par urocze Tivoli.



Powyżej: Wspaniała jest aleja olbrzymich drzew, na końcu której widać pałac d'Este

Tutaj wśród niespotykanej, kunsztownej inscenizacji wodotrysków, wobec frapującej zagadki hydrotechniki i rozplanowanego szeroko na wzgórzu parku pałacowego rodziny d'Este, ulegnie oszałamiającym wzruszeniom najbardziej niemuzykalny i zatwardziały na piękno człowiek.

Najpiękniejszą częścią Tivoli jest Villa d'Este, wybudowana w połowie XVI wieku, jako rezydencja wypoczynkowa kardynała d'Este, znamiennego dla epoki renesansu człowieka zabaw i sybarytyzmu, wyrażającego się w szerokim geście artystycznym. Już wtedy wodotryski tivolańskie sprawiały tak imponujące wrażenie, że na ich wzór polecano budować nowe, jak to uczynił kardynał Aldobrandini dla uświetnienia swego pałacu we Frascati. Ogrody w Tivoli, rozśpiewane od 4 wieków szumem wody, pamiętają wspaniałe „garden party", na których dobrze



Widok na Tivoli i jego wspaniałe wodospady.



Na lewo: Aleja stu fontan w Tivoli.

płatni poeci opiewali ich piękno i potęgę rodów. Dziś w ich pięknie zmienił się tylko sztafaż ludzki. — Służba ma umundurowanie muzealnych woźnych, takie samo, jak w Rzymie, Florencji i wszędzie indziej, a po przepysznych terasach i alejach snują się sylwetki młodych Amerykanek, niemieckiej małomównej burżuazji i niekiedy zgrabne postacie oficerów włoskich. Już z pierwszego tarasu przy samem Casino roztacza się widok na coraz niżej zstępujące ze wzgórza płaszczyzny ogrodów i na malującą się poprzez najwyższe w Italji cyprysy panoramę miasta. Widowisko to posiada emocjonujące gradacje. Teatr wodny, który poniżej pałacu śpiewa strugami fontan, wciąga nas długiemi amfiladami schodów, ozdobionemi szpalerem wodotrysków ku kolosalnej, największej fontannie i basenowi. „Fontana dell'organo idraulico", tak nazwano tę kaskadę, przypomina w układzie bijących w górę strumieni formę kolosalnych organów. Nieprzeliczona mnogość trysków przedstawia fantastyczne kłębowisko rozigranych wężownic wodnych. Wiatr gra na nich niewidzialną ręką, zmieniając lekko ich geometryczny rytm i rozrzucając w przestrzeń orzeźwiający pył wodny. Strumienie opadają w ciężkim ruchu na wielkie talerze basenów, zbudowanych jeden nad drugim i jak srebrzyste warkocze zesuwają się w konchy coraz niższe i większe. Całą tę bajkową feerję oplata łuk tęczy. Odgłos wszystkich uderzeń wody wiąże się w jeden zwarty akord.

Widowisko tu się nie kończy. Z parku o bujnie rozrośniętych oliwkach, cyprysach i różnych pnączach płynie ku nam nowy refren szumiącej wody i wiedzie nas na „Viale delle cento Fontane". Sto wodotrysków, jeden za drugim, przeplecione rzeźbami orłów, ozdabia długą aleję.

Błądzić tu można bez końca, wdychując z rozkoszą rozsiany pył wodny i czyniąc co krok nowe odkrycia piękna.

Kto zrealizował tę czarodziejską wizję, symfonję dźwięków i ruchu, świateł i wody? Kim był? Artystą czy „maestro" techniki? Niewielką rzekę Anio, opadającą ze wzgórza tivolańskiego ujęły przed wiekami ręce tego twórcy cudu i kazały jej na szlaku swej wędrówki wygrywać bez końca poemat perlistego staccata...

— — — — — — — —

Jeszcze starszem zjawiskiem są wodospady w Tivoli. W czasach cesarstwa rzymskie-

(Dokończenie na str. 31-ej).

TAJEMNICZY KWIAT

H. G. WELLS. PRZEKŁAD AUTORYZOWANY W. DE RICHE

★ NOWELA ★

Kupowanie storczyków jest zawsze połączone z pewnego rodzaju spekulacją. Macie przed sobą brunatny, zeschły kłąb korzenia, a zresztą musicie się zdać na własny sąd, na sprzedającego lub na los szczęścia, jak uznacie za stosowne. Roślina może być już nieżywą lub zamierającą, ale może również okazać się cennym nabytkiem, odpowiadającym wartością swoją wyłożonym na nią pieniądzom, a może nawet — zdarzyło się to już niejednokrotnie — rozwijać się zwolna. Dzień za dniem, przed zachwyconemi oczyma szczęśliwego nabywcy, w jakiś nowy okaz, zdumiewający niewidzianym dotąd przepychem barw, niezwykłem ułożeniem płatków lub przedziwną zdolnością upodabniania się. Radość, piękno i zysk, wszystko to znaleźć się może razem na jednej wątłej, zielonej łodydze, a nawet czasami nieśmiertelność. Albowiem nowy cud natury może wymagać nowej, specyficznej nazwy, a cóż odpowiedniejszego, jak nazwać go imieniem odkrywcy? „Johnsmithia"! Bywały i gorsze nazwy.

Być może, że nadzieja takiego szczęśliwego odkrycia skłaniała Winter-Wedderburna do częstej bytności w halach sprzedaży storczyków — nadzieja a również i fakt, że nie miał właściwie nic innego do roboty. Był to skromny, samotny, pozbawiony energji mężczyzna, posiadający odpowiednie dochody, aby zaspokoić swoje potrzeby, a nie mający przedsiębiorczości na tyle, aby wyszukać sobie jakieś ściśle określone zajęcie. Mógł zbierać marki lub monety, tłumaczyć Horacego, oprawiać książki lub poświęcić się badaniu wymoczków. Ale zdarzyło się, że hodował storczyki i miał małą, pretensjonalną cieplarnię.

— Mam przeczucie — rzekł pijąc kawę — że mi się dzisiaj coś przytrafi. — Mówił — jak poruszał się i myślał — powoli.

— Och, nie mów takich rzeczy! — rzekła jego gospodyni, która była także jego daleką kuzynką. Albowiem coś „było eufemizmem, który miał dla niej tylko jedno znaczenie.

— Nie rozumiesz mnie. Nie mam na myśli nic nieprzyjemnego... chociaż właściwie nie wiem, czego się spodziewam. — Dziś — mówił dalej po chwili — odbywa się u Pettersów wysprzedaż roślin, przysłanych z Indyj i Andamanów. Pójdę i zobaczę, co mają. Może uda mi kupić nadspodziewanie co dobrego. Stąd moje przeczucie.

Przysunął filiżankę, aby mu ją napełniono kawą po raz drugi.

— Czy to chodzi o rośliny, zebrane przez tego nieszczęśliwego młodzieńca, o którym mi wspominałeś przed kilku dniami? — zapytała jego kuzynka, nalewając mu drugą filiżankę kawy.

— Tak jest — rzekł i zamyślił się nad kawałkiem bułki.

— Nigdy mi się nic nie przytrafiło — zauważył nagle, zaczynając głośno myśleć. — Dziwię się dlaczego? Innym ludziom przytrafiają się najrozmaitsze rzeczy. Taki n. p. Harvey. Tylko w ostatnim tygodniu — w poniedziałek znalazł sześć pensów, we wtorek kury jego dostały kołowacizny, w piątek wrócił do domu jego kuzyn z Australji, a w sobotę złamał nogę. Cóż to za splot niezwykłych wydarzeń — w porównaniu z mojem życiem.

— Nie zazdroszczę mu — rzekła jego gospodyni. — I ty mu nie zazdrość.

— Przyznaję, że to kłopotliwe. A jednak... widzisz, mnie nigdy się nic nie przytrafiło. Jako chłopiec, nigdy nie uległem żadnemu wypadkowi. Jako dorosły mężczyzna, nigdy się nie zakochałem. Nigdy się nie ożeniłem... ciekawy jestem, jakiego doznaje się uczucia, kiedy się coś przytrafi, coś naprawdę niezwykłego.

— Ten zbieracz storczyków miał, kiedy umarł, tylko trzydzieści sześć lat, a więc był o dwadzieścia lat ode mnie młodszy. Jednakże ożenił się dwa razy i raz się rozwiódł. Przeszedł cztery razy malarję i raz złamał sobie kość goleniową. Raz zabił Malajczyka, a raz został zraniony zatrutą strzałą. I wkońcu zabiły go w dżungli pijawki. Było to wszystko bardzo kłopotliwe, ale musiało być również bardzo interesujące, wyjąwszy, być może, pijawki.

— Jestem pewna, że nie wyszło mu to na korzyść — rzekła gospodyni tonem stanowczym.

— Być może, że nie. — Potem Wedderburn spojrzał na zegarek. — Dwadzieścia trzy minuty po ósmej. Pojadę pociągiem o trzy na dwunastą, mam więc dużo czasu. Sądzę, że włożę swój alpakowy surdut — jest zupełnie ciepło — szary kapelusz filcowy i żółte buty. Mam wrażenie...

Spojrzał przez okno na pogodne niebo i ogród, skąpany w świtele słonecznem, a potem nerwowo na twarz kuzynki.

— Zrobisz lepiej, biorąc do Londynu parasol — rzekła głosem wykluczającym wszelki opór. — Wiel rzeczy może się zdarzyć do twego powrotu.

Przyjechał z Londynu w stanie miłego podniecenia. Zrobił pewien nabytek. Rzadko kiedy decydował się szybko na kupno, ale tym razem tak się właśnie stało.

— To Vandhe — rzekł — Denderobium i jakiś Paleonophis. — Przyglądał się zakupionym roślinom z lubością jedząc zupę. Leżały na czystym, jak śnieg, obrusie przed nim; a on opowiadał kuzynce wszystko, co o nich wiedział, zwolna spożywając obiad. — Miał zwyczaj przeżywać wszystkie wizyty w Londynie po raz drugi wieczorem dla własnej i dla jej przyjemności.

— Wiedziałem, że coś się dzisiaj zdarzy. I kupiłem to wszystko. Jestem pewny, że niektóre z tych roślin... niektóre z nich okażą się cennym nabytkiem. Nie wiem dlaczego, ale jestem tego tak pewny, jakby mi ktoś powiedział, że niektóre z nich będą wspaniałemi okazami.

— Ta jedna — wskazał na zeschły korzeń — nie została rozpoznana. Może to Palaenophis — a może nie. Może to jakiś nowy rodzaj lub nowy gatunek. To ostatni storczyk ze zbiorów Battena.

— Nie podoba mi się — rzekła jego gospodyni. — Jest bardzo brzydki.

— Dla mnie to rzecz obojętna.

— Nie podobają mi się te sterczące wyrostki — powiedziała jego kuzynka.

— Jutro wsadzę go do doniczki.

— Wygląda jak pająk, udający nieżywego — rzekła jego gospodyni.

Wadderburn uśmiechnął się i spojrzał na korzeń z ukosa.

— W istocie, brzydko wygląda. Ale trzeba się wstrzymać z ostatecznym sądem. Może przekształcić się w bardzo ładny storczyk. Jutro będę bardzo zajęty. Muszę zastanowić się dziś wieczorem, co uczynić z temi roślinami, a jutro zabiorę się do pracy.

— Znaleziono biednego Battena nieżywe-

go względnie umierającego w bagnie mangrowowem — nie wiem gdzie — zaczął znów mówić — a pod nim leżał, zgnieciony, jeden z tych właśnie storczyków. Chorował on od kilku dni na jakąś miejscową gorączkę i sądzę, że zemdlał. Te bagna mangrowowe są bardzo niezdrowe. Mówią, że p jawki wyssały z niego krew do ostatniej kropli. Być może, że zdobycie tej właśnie rośliny przypłacił życiem.

— A więc uprzedzenie moje do niej jest zupełnie usprawiedliwione.

— Mężczyźni muszą pracować, chociaż kobiety mogą płakać — rzekł Wedderburn z głęboką powagą.

— Wyobraź sobie śmierć w obrzydliwem bagnie, zdala od wszelkich wygód! Wyobraź sobie, że gorączkujesz, a jedynem twojem lekarstwem jest chlorodyna i chinina — gdyby mężczyzn pozostawić samym sobie, żywiliby się tylko chlorodyną i chininą — że otaczają cię tylko te okropne dzikusy! Mówią, że mieszkańcy Andamanów wyglądają wprost okropnie... w każdym razie nie nadają się na pielęgniarzy, gdyż nie mają odpowiedniego wyszkolenia. A wszystko to dlatego, aby ludzie w Anglji kupowali storczyki!

— Nie sądzę, aby to było rzeczą przyjemną, ale są ludzie, którym odpowiada taki sposób życia — rzekł Wedderburn. — Bądź co bądź, dzicy, mieszkający w tej okolicy, okazali się na tyle cywilizowanymi, że zaopiekowali się jego zbiorami, dopóki jego towarzysz, który był ornitologiem, nie wrócił z podróży do wnętrza wyspy. Nie mogli jednak powiedzieć, co to za storczyk i pozwolili mu zwiędnąć. Z tych względów jednak rośliny te są tem bardziej interesujące.

— Sąd obrzydliwe. Kto wie, czy nie przyczepiła się do nich malarja. I pomyśleć, że na tem brzydactwie leżał trup! Nigdy mi to na myśl nie przyszło. Dosyć! Nie mogę wziąć już nic do ust.

— Jeśli chcesz, zabiorę je ze stołu i położę na oknie. Mogę oglądnąć je tam równie dobrze.

W ciągu następnych kilku dni krzątał się żywo w swej zadymionej, małej cieplarni, przynosząc węgiel drzewny, kawałki smoły, mech i wszystko to, co potrzebne jest zbieraczowi storczyków. Był z siebie bardzo zadowolony. Wieczorami opowiadał przyjaciołom o tych nowych storczykach i ciągle wspominał, że ma przeczucie, iż stanie się coś niezwykłego.

Kilka Vandej i Dendrobium uschło pod jego czułą opieką, ale tajemniczy storczyk zaczął niespodzianie dawać znaki życia. Był tem zachwycony i odciągnął swoją gospodynię od robienia ciasta zaraz po tem odkryciu, aby się mu przypatrzyła.

— To pączek — rzekł. — Wkrótce rozwiną się liście, a te wyrostki to korzonki powietrzne.

— Wyglądają, jak małe, białe palce, wystające z brunatnego podłoża — rzekła jego gospodyni. — Nie podobają mi się.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Wyglądają jak palce, które cię chcą pochwycić. Mam swoje upodobania i uprzedzenia.

— Nie jestem pewny, ale nie sądzę, aby storczyki, które znam, miały takie powietrzne korzonki. Rzecz prosta, że mogę się mylić. Widzisz, że są trochę spłaszczone na końcach.

— Nie podobają mi się — powiedziała jego gospodyni, wzdrygając się nagle i od wracając głowę. — Wiem, że to bardzo głupie z mej strony... i jest mi bardzo przykro zwłaszcza, że zachwycasz się tak bardzo tą rośliną. Ale nie mogę zapomnieć o tym trupie.

— Być może jednak, że to nie była właśnie ta roślina. To tylko moje przypuszczenie.

Gospodyni wzruszyła ramionami.—W każdym razie, nie podoba mi się — powiedziała.

Wedderburn czuł się nieco dotknięty jej uprzedzeniem do rośliny. Ale to mu nie przeszkodziło rozmawiać z nią o storczykach w ogólności, a przedewszystkiem o tym storczyku, kiedy miał ochotę.

— Storczyki mają swoje tajemnice — rzekł pewnego dnia. — Mogą sprawiać prawdziwe niespodzianki. Darwin, który studjował ich sposób zapładniania, wskazał, że cała budowa zwyczajnego kwiatu storczyka dostosowana jest do tego, aby ćmy mogły przenosić pyłek z rośliny na roślinę. Zdaje się jednak, że cały szereg znanych storczyków posiada kwiat, który nie może służyć do zapłodnienia tą drogą. Przykładem niektóre Cypripedia; nie znamy owadów, któreby mogły je zapładniać, a niektóre z nich nie mają nasienia.

— A więc w jaki sposób tworzą nowe rośliny?

— Przez odrośle i pędy, wyrastające z korzenia. To łatwo wytłumaczyć. Zagadką jednak jest, do czego służą kwiaty?

— Być może — dodał — że mój storczyk okaże się właśnie pod tym względem niezwykłym. W takim razie będę go studjował. Chciałem już dawno robić doświadczenia, jak Darwin. Dotąd jednak nie miałem czasu albo coś innego stało mi na przeszkodzie. Liście zaczynają się teraz rozwijać. Pójdź i zobacz! Powiedziała jednak, że w cieplarni jest za gorąco i że nie chce narazić się na ból głowy. Widziała roślinę jeszcze raz, a korzonki powietrzne, które były teraz więcej, jak na stopę długie, przypomniały jej, na nieszczęście macki, wyciągające się po ofiarę; śniła o nich po nocach i zdawało jej się, że rosną z nieprawdopodobną szybkością. Postanowiła zatem nie oglądać więcej rośliny i Wedderburn musiał sam podziwiać jej liście. Były szerokie, jak zwyczajne, barwy ciemno-zielonej, a u podstawy miały ciemno-czerwone plamki i punkciki. Nie widział nigdy podobnych liści. Roślina ustawioną była na niskiej ławce, w pobliżu termometru, a tuż obok znajdował się nieskomplikowany przyrząd z rurami ogrzewanemi gorącą wodą, który napełniał powietrze dymem. Wedderburn spędzał teraz stale godziny popołudniowe na rozmyślaniach o bliskiem zakwitnięciu tajemniczej rośliny.

Wkońcu nadszedł wielki dzień. Zaledwie wszedł do małej cieplarni, domyślił się, że kwiat się rozwinął, aczkolwiek jego wielki Palaeonophis Lowii zakrywał kąt, gdzie stał jego nowy ulubieniec. W powietrzu unosił się nowy zapach, przenikliwy, niezwykle słodki zapach, który wyróżniał się z pomiędzy wszystkich innych zapachów w tej ciasnej zadymionj cieplarni.

Zaledwie to zauważył, pospieszył do tajemniczego storczyka. Wielkie nieba! Na cienkiej, zielonej łodydze widniały teraz trzy wielkie kwiaty, wydające ten słodki, odurzający zapach. Stanął przed niemi w niemym podziwie.

Kwiaty były białe, z złotemi smugami na płatkach; ciężka łodyga była silnie wywinięta i zdawała się być stworzona z ciemnej purpury, zmieszanej ze złotem. Zobaczył odrazu, że był to gatunek zupełnie nowy. I ten odurzający zapach! Jakże tu było gorąco! Kwiaty migały mu przed oczyma.

Chciał zobaczyć, czy temperatura była odpowiednia. Podszedł do termometru. I nagle zakręciło mu się w głowie. Cegły na podłodze zaczęły tańczyć przed jego oczyma. Potem białe kwiaty, zielone liście za niemi, cała cieplarnia, jakby usunęła się w bok, a potem łukiem do góry.

— — — — — — — — —

O wpół do piątej kuzynka jego, stosownie do niezmiennego zwyczaju, zrobiła herbatę. Ale Wedderburn nie zjawił się.

— Modli się do tego obrzydliwego storczyka — rzekła do siebie i czekała jeszcze dziesięć minut. — Musiał mu stanąć zegarek. Pójdę i zawołam go.

Poszła prosto do cieplarni i otworzywszy drzwi, zawołała na Wedderburna. Nie było odpowiedzi. Zauważyła, że powietrze było bardzo duszne i przesycone odurzającym zapachem. Potem ujrzała coś leżącego na cegłach, obok rur, doprowadzających go rącą wodę.

Może przez minutę stała bez ruchu.

Leżał, twarzą do góry, u stóp tajemniczego storczyka. Podobne do macek korzonki powietrzne nie kołysały się już swobodnie w powietrzu, ale zebrane były w jednem miejscu, niby splot zielonych lin i przyczepione końcami do jego podbródka, karku i rąk.

Nie zrozumiała. Potem ujrzała, że z pod jednej z macek na jego policzku spływa cienki strumyczek krwi.

Z nieartykułowanym krzykiem podbiegła do niego i próbowała oderwać go od ssących, jak pijawki macek. Oderwała dwie z nich i z wnętrza ich spłynęła krew.

Potem zakręciło jej się w głowie od przenikliwego zapachu kwiatów. Jakżeż silnie przyczepione były do niego! Zaczęła ciągnąć za zielone liny, kiedy odniosła wrażenie, że wszystko wokoło niej zaczęło wirować. Czuła, że mdleje, a wiedziała, że zemdleć nie może. Pozostawiła go, otworzyła szybko najbliższe drzwi, a kiedy odetchnęła świeżem powietrzem przyszła jej świetna myśl do głowy. Wzięła jedną z doniczek i wybiła szyby w drugim końcu cieplarni. Potem weszła do niej znowu. Zaczęła teraz ciągnąć ze wzmożoną siłą bezwładne ciało Wedderburna i przewróciła tajemniczy storczyk, który spadł z trzaskiem na podłogę. Przyczepiony był jeszcze z dziwnym uporem do swej ofiary. Wytężyła wszystkie siły i wyciągnęła storczyk i Wedderburna na świeże powietrze. Potem pomyślała o przecięciu ssących go korzonków powietrznych, jednego za drugim i w ciągu minuty uwolniła go od potwora. Był blady i krwawił z tuzina okrągłych ran.

Służący jej, który zjawił się właśnie w ogrodzie, stanął zdumiony na widok wybitych szyb i ujrzał ją wyciągającą z cieplarni bezwładne ciało, rękami zbroczonemi we krwi. Przez chwilę myślał o rzeczach niemożliwych.

— Przynieś wody! — zawołała a głos jej rozproszył jego wątpliwości. Kiedy z niezwykłym pośpiechem przyniósł wodę, zastał ją płaczącą ze wzruszenia, trzymającą głowę Wedderburna na kolanach i ocierającą krew z jego twarzy.

— Co się stało? — zapytał Wedderburn, otwierając oczy i zamykając je znowu.

— Idź i powiedz Andii, aby tu do mnie przyszła, a potem idź po doktora Haddona — rzekła do służącego, kiedy przyniósł wodę i dodała, widząc jego wahanie: — Opowiem wam wszystko, kiedy wrócicie.

Nagle Wedderburn otworzył znowu oczy, a ona rzekła: — Zemdlałeś w cieplarni.

— A storczyk?

— Zajmę się nim — rzekła.

Wedderburn stracił dość dużo krwi, ale poza tem nie odniósł żadnej poważniejszej szkody. Dali mu wódki i zanieśli go na górę do łóżka. Jego gospodyni opowiedziała swoją nieprawdopodobną historję doktorowi Haddonowi.

Chłodne powietrze z zewnątrz przenikało przez otwarte drzwi, usuwając słodkawy zapach. Większa część przerwanych korzonków leżała już zwiędła pośród ciemnych plam na cegłach. Łodyga storczyka złamała się w czasie upadku, a na brzegach płatków kwiatów zaznaczały się już brunatne smugi. Doktór podszedł do storczyka, a potem ujrzał, że jedna z powietrznych macek jeszcze się słabo porusza i zatrzymał się. Nazajutrz nieznany storczyk leżał tam jeszcze, ale już zczerniał i zaczął gnić. Poranny wietrzyk trzaskał od czasu do czasu drzwiami od cieplarni, a Wedderburn, promieniejący radością, rozprawiał na górze, dumny ze swej niezwykłej przygody.



HALINA STARZYŃSKA

Panie, o których mówi stolica

Koła towarzyskie stolicy zaintrygowane były w ostatnich czasach niemal zupełnem usunięciem się z życia towarzyskiego dyrektorowej Haliny Starzyńskiej. Klub „Sprawność" przy P. W. K. (Przysposobienie Wojskowe Kobiet), którego dyr. Starzyńska była zawsze gorliwą i czynną członkinią, również bolał nad abstynencją swej najlepszej gimnastyczki. W tym roku poczęła przecież trenować do drugiego stopnia „POS'a".

Skorzystałam z nadarzającej się sposobności i zaindagowałam dyr. Starzyńską na ten temat.

— Mam ogromne wyrzuty sumienia — odpowiada dyr. Starzyńska — nietylko w stosunku do życia towarzyskiego, ale przedewszystkiem w odniesieniu do mej szerokiej pracy społecznej.

— A tak, wiadomo mi, że pani dyrektorowa jest niestrudzoną pracowniczką i członkinią zarządu kilku związków społecznych.

— Muszę jednakże przyznać się, że chwilowo z tego czasu, który poświęcam pracy społecznej, uszczknęłam trochę na cele bardziej osobiste. Buduję dom. A cokolwiek robię, robię to zawsze z przejęciem i całkowitem oddaniem!

— Czy wolno zapytać, gdzie powstała ta nowa siedziba pani?

— W Warszawie, na Osiedlu Oficerskiem. Jest to nowa i piękna kolonja, położona niedaleko ostatniego przystanku tramwajowego, pośród pól i ogrodów podmiejskich, w sąsiedztwie kilkunastomorgowego sadu, który, gdy zakwitnie wiosną, jest ósmym cudem świata!

Z gorliwością, spragnionego bodaj widoku tych sielskich rozkoszy mieszczucha, przyjmuję miłe zaproszenie dyr. Starzyńskiej na zwiedzenie Osiedla i nowowybudowanej willi Auto, kilka minut jazdy i oto mamy przed sobą wysokie maszty starej, warszawskiej radjostacji, która stanowi centrum kolonji. Na jej terenach ma być w przyszłości zaprowadzony park. Wkoło wieńcem rozsiadły się wille. Jest ich już ośmdziesiąt. Jedna z nich jest własnością dyrekt. Romanowstwa Starzyńskich. Jest to piękna piętrowa willa, zbudowana w nowoczesnym stylu „frontem do ogrodu", dużo światła, słońca, wspaniałe tarasy, pergole, basen.

Dyr. Starzyńska z radosną dumą prezentuje swój home.

— Mam wrażenie — mówi — że ta cała willa, to moje dzieło. Od wczesnej wiosny, całe niemal dni przepędzam na budowie, kontrolując pracę przy jej wykończaniu. Wprawdzie nie posiadam w tym kierunku żadnych specjalnych studjów, ale i tak muszę się pochwalić, że pewne szczegóły w architekturze wnętrza przeprowadzone są według mojego pomysłu i planu. Zwłaszcza w części gospodarskiej.

Zwiedzamy to imperjum pani domu. Zatem celowo pomyślane szafy omurowane, jakieś nadzwyczajne schowki, spiżarnie, chłodnie elektryczne, kotły, boliery, radjatory...

Skolei przechodzimy do pokojów recepcyjnych na parterze i sypialnych na pierwszem piętrze, z okien których roztacza się widok na morze zieleni i mrugającą wieczorami zdala wieżę sygnałową lotniska na Okęciu.

— A teraz pokażę pani ogród. To także moja duma — zapowiada moja uprzejma rozmówczyni. — Było z nim sporo kłopotu, ze względu na spadzisty i nierówny teren. Mamy jednakże w Warszawie znakomitego planistę ogrodowego inż. Hellwiga, który naprawdę zrobił z tego kawałka nieużytku prawdziwe cacko. Roboty przeprowadzała również specjalistka tego fachu, inż. Kozakowa. Nowoczesny ogród musi bowiem stylem odpowiadać dzisiejszej architekturze. Każda roślinka, każdy krzew ma tu swoje właściwe miejsce i zastosowanie. Obecnie używa się do przyozdabiania ogrodów przeważnie kwitnących krzewów z różami na czele i zimotrwałych bylin, które kwitną kolejno od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Ścieżek się nie żwiruje, lecz wykłada taflami betonowemi, między które sieje się trawę. Można w ten sposób wydobyć, zwłaszcza w układzie płyt na tarasach, ciekawe a piękne efekty.



Na prawo: p. Halina Starzyńska na tle swojej willi warszawskiej.

Podmurowanie tarasowate ogrodu zostało uskutecznione zapomocą kafli, wydrążonych i wypełnionych ziemią. Tu znów zasadziło się rośliny pnące.

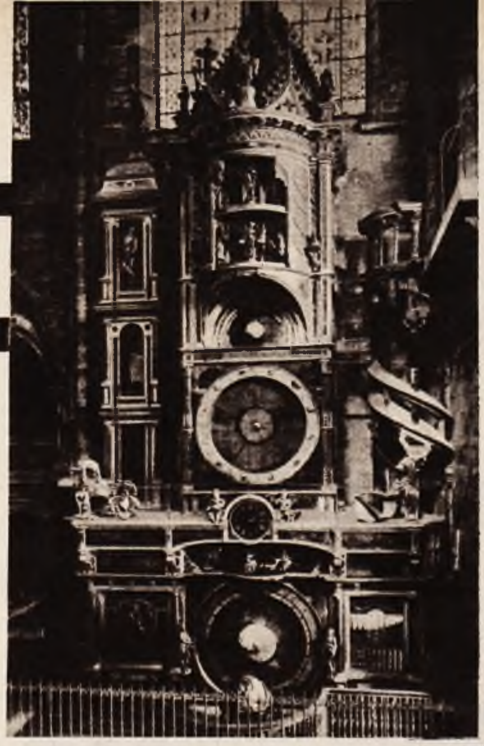
Pani Halina wodzi rozradowanemi oczami po swem królestwie. Jej śliczna twarzyczka, cała w uśmiechu i zdrowych kolorach, zgrabna postać w barwnej sukni ogrodowej, doskonale harmonizują z młodzieńczą świeżością zieleni ogrodu i wykwintną architekturą, rysującej się na tle błękitu nieba, pięknej willi..

Zofja Ordyńska.

»Wieczny kalendarz«

W cudownej gotyckiej katedrze w Strasburgu, zwanej ze względu na przepiękną architekturę „perłą Alzacji", znajduje się słynny na cały świat zegar astronomiczny z XIX w. wraz z wiecznym kalendarzem. Ten niesłychanie skomplikowany mechanizm zaciekawia nietylko „speców", ale także zwykłych śmiertelników. W katedrze można spotkać osoby, nieraz zdaleka przybywające, które całemi dniami obserwują ruchy poszczególnych części zegara.

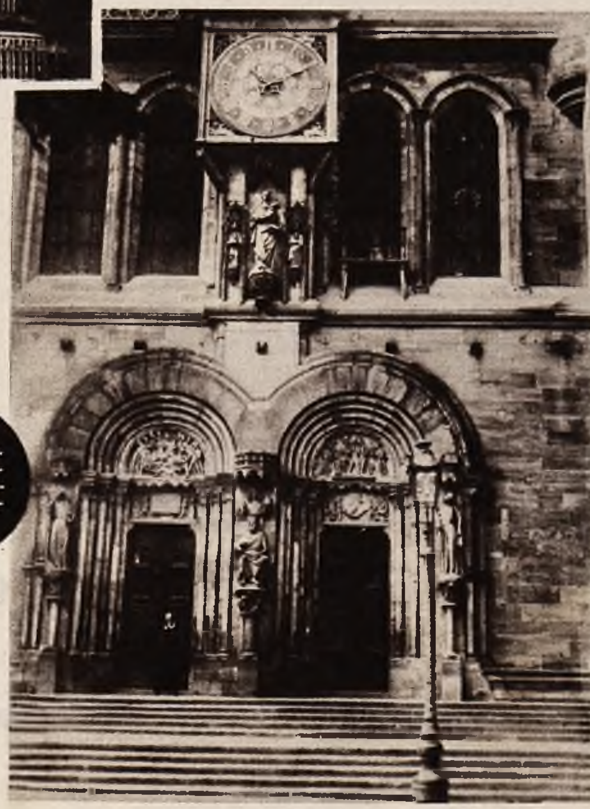
Mechanizm został skonstruowany przez mieszkańca Strasburga, artystę-zegarmistrza Schwilgué między 1838 a 1842 r. — Zegar ma formę ołtarza, składa się z trzech części: dolnej w kształcie podłużnej szafy i dwu wież, z których jedna jest szersza i większa



Zegar astronomiczny Katedry strasburskiej.



Po lewej: Ogólny widok Katedry w Strasburgu.



Na prawo: Zegar słoneczny, znajdujący się nad wejściem do Katedry.

ze względu na umieszczony w niej mechanizm, druga mniej okazała. W części dolnej w pośrodku na ziemi znajduje się sklepienie niebieskie, na którem zaznaczony jest codzienny ruch gwiazd. Za sklepieniem jest t. zw. „wieczny kalendarz", który nieustannie wskazuje rok, dzień miesiąca, tygodnia, święta ruchome i stałe i t d. — Na prawo od kalendarza widzimy zbiorowisko kół i kółeczek miarowo tykające, które „zamienia" czas słoneczny na zwyczajny, oraz wskazuje fazę księżyca i zaćmienia. Nad ową szafką widnieje napis: „Równania słoneczne i księżycowe". — Z lewej strony „kalendarz dla duchownych, zawierający mnóstwo zawikłanych i niezrozumiałych dla profana przepisów. Powyżej środkowego „wiecznego kalendarza" są przedstawione allegoryczne figury siedmiu dni tygodnia. Na małym, misternie rzeźbionym powoziku, ukazuje się każdego dnia inne bóstwo, któremu dzień ten jest poświęcony. Szafa, w której są te osobliwości, zakończona jest u góry galeryjką, t. zw. „galeryjką lwów", znajdują się tam bowiem dwa lwy, trzymające tarcze herbowe. Istnieje legenda, że za dawnych czasów w południe słychać było i głos lwów ryczących. Jedno z najbardziej znanych podań mówi, że Schwilgué, twórca tego nieśmiertelnego zegara, miał zamiar zbudować podobny w jakiemś innem mieście. Dowiedział się o tem mer Strasburga i za takie przestępstwo rozkazał oślepić Schwilgué. Mistrz miał jedną prośbę: aby choć raz dozwolono mu nakręcić tę cudowną maszynerję. Gdy prośbie zadość uczyniono, Schwilgué zamiast nakręcić, chciał z zemsty unieruchomić cały mechanizm. Spostrzegli to towarzyszący mu strażnicy i czemprędzej zaprowadzili mistrza do lochu. Nie udało się dokonać całkowitej zemsty — tylko lwy od tego czasu zamilkły.

Na tejże galeryjce jest zwykły zegar, trzymany przez dwu genjuszów, z tych jeden wybija godziny pałeczką, a drugi co godzinę odwraca piaseczniczkę.

W środkowej wieży o postaci czysto gotyckiej, jest planetarjum oraz ruchome figurki — może największa atrakcja całego zegara. W wewnętrznej przegrodzie w środku stoi „Śmierć" i wybija piszczelem każdą minioną godzinę. „Śmierć" otoczona jest czterema figurkami, symbolizującemi okresy życia. Na pierwszy kwadrans ukazuje się dziecko, na drugi młody łucznik ze strzałami, potem wojownik z mieczem, wreszcie starzec o kulach, a potem znów Śmierć, jakby przypominająca, że na końcu wszystkiego króluje „Ona". Jest ciekawem, że Śmierć spełnia swą rolę i w dzień i w nocy, podczas gdy figurki defilują tylko w dzień. Nad powyżej opisaną grupą jest statua Chrystusa. I skoro zegar wydzwoni południe, 12 apostołów przesuwa się przed Chrystusem, który ich błogosławi.

Boczna wieżyczka w kształcie podłużnej szafy, ozdobiona jest malowidłami Stimmera, wśród których widzimy też portret twórcy, artysty-zegarmistrza, i zawiera w swoim wnętrzu ciężarki zegara.

Na daszku tej wieżyczki siedzi słynny kogut, który, gdy tylko przesuną się Apostołowie, trzepocze radośnie skrzydłami i do złudzenia naśladuje prawdziwe pianie, tak jakby chciał przypomnieć dane niegdyś jednemu z apostołów ostrzeżenie.

Wspaniała Katedra strasburska posiada poza opisanym zegarem astronomicznym, zaliczonym do rzeczy godnych widzenia, również zegar o wspaniałej robocie, znajdujący się na zewnątrz kościoła. Jak stwierdzają kroniki kościelne pochodzi on z roku 1200. Tak więc świątynia strasburska szczyci się dwoma zabytkami dawnej sztuki zegarmistrzowskiej.

(Lew.)

NAD „MORSKIEM OKIEM"... →



Hallo! Tu mówią teatry Broadway'u...

Ryba dość rzadka — schwytana w sieć wywiadu. Polak, a zarazem artysta dramatyczny scen nowojorskich—Czesław Sager-Czaja — jeden z wybitnych aktorów sławnej sceny Ziegfielda na Broadway'u. Urodzony w Nowym Jorku — przyjechał już po raz drugi do Polski, przyjechał z tęsknoty i z niechęcią myśli o chwili, w której będzie trzeba wyruszyć zpowrotem... dla chleba.

Rozmawiamy o sztuce teatralnej Ameryki. Przedewszystkiem zaś o jej „stronie aktorskiej". W pewnej chwili poruszam sprawę organizacji pracy aktorskiej. Mój interlokutor ożywia się:

— Panie — mówi — pod tym względem Europa a Ameryka — to niebo a ziemia, w dosłownem tego zdania znaczeniu. Tu macie swoje związki, określone gaże i warunki engagement, tam zaś jest prawie wszystko rzeczą przypadku. Macie stałe teatry ze stałymi zespołami, które grają przez cały rok w różnych sztukach — u nas zaś są poszczególni producenci, posiadający wprawdzie często swe własne gmachy teatralne, ale angażujący jedynie do poszczególnych sztuk i to jedynie przez pośrednią drogę niezliczonych agencyj; każda znów z tych agencyj pobiera od poszczególnego „swego" aktora odpowiedni haracz miesięczny — obiecując mu nierzadko i „całemi półroczami" wystaranie się o jakąś rólkę... a tu tymczasem trzeba żyć, dobrze się ubierać, mieć zawsze wesołą i uśmiechniętą twarz — tego bowiem wymaga „bushido" amerykańskiego świata... To, panie, nie są żarty — to walka na śmierć i życie z niezliczoną konkurencją, walka z samym sobą wolą wytrwania i dojścia wbrew wszelkim przeszkodom do upragnionego celu.

Protekcja zaś u nas w Ameryce bardzo mało znaczy. Kończy się ona... na próbie, gdzie protegowany musi mimo wszystko przedewszystkiem pokazać, że coś umie i to, że umie to coś „perfect". Jeżeli próba zawiedzie — wszelka protekcja się kończy i niema już nadal w danym poszczególnym wypadku żadnego znaczenia. Producent, który lekką rączką rzuca często na wystawienie jednej sztuki kilkaset tysięcy dolarów— nie może ze względu na własny interes pozwolić na to, by tę sztukę psuł jakiś pupilek choćby najwyżej postawionej osoby. Ale co jest najciekawsze, że i osoba protegująca, o ile nie daje sama na sztukę pieniędzy, rozumie doskonale interes producenta i nie wymaga nigdy „ponad miarę". Gdy widzi, że jej protegowany nie nadaje się — zaprzestaje wszelkich usiłowań w tym kierunku. Jest to specyficznie amerykańska rzetelność w tym względzie i świadczy tylko na korzyść tamtejszych ludzi.



Czesław Sager-Czaja, utalentowany aktor teatrów Broadway'u.

— Niech mi Pan powie — wtrąciłem — o następującej sprawie: Dajmy na to — Pan zdobył już stanowisko w aktorskim świecie Ameryki, gra Pan w jakiejś sztuce, której przedstawienia dobiegają już jednakże końca; kiedy i w jaki sposób zaczyna Pan starać się o nowe engagement?

— Doskonale. Mam pod ręką przykład klasyczny z własnego życia — z czasów, gdy grałem jedną z głównych ról w „Rio Rita", która najpierw szła u Ziegfielda, zanim nakręcono ją w filmie. Sztuka ta szła dwa lata przeszło, ściśle z prowincjonalnemi występami dwa i pół lat — a zatem opłaciła się. Bo trzeba panu wiedzieć, że półroczne jedynie powodzenie sztuk o wielkim nakładzie kosztów jest uważane za klapę — po pół roku bowiem dopiero zaczynają się wkłady amortyzować. Ale nie odbiegajmy od pańskiego pytania.

Było to już pod koniec drugiego roku codziennego grania „Rio Rity" w New Yorku i innych wielkich miastach Stanów. Pamiętam, byliśmy wtedy w Bostonie — gdy dowiedziałem się przez moich przyjaciół nowojorskich, że za jakieś półtora roku mają wystawić nową sztukę, w której jest mała wprawdzie, ale niezwykle ciekawa pod względem charakterystycznym rola Chińczyka. Postanowiłem tedy zdobyć tę rolę za wszelką cenę. Jak zobaczy pan później — nie było to łatwe zadanie. Przedewszystkiem bowiem amerykański reżyser i producent nie rozumie w takich wypadkach słowa: „charakteryzacja"! Jeśli jest rola Chińczyka — musi ją zagrać autentyczny Chińczyk. Jeśli zaś ten Chińczyk ma mieć warkocz — trzeba szukać i znaleźć Chińczyka z warkoczem. Jeśli ktoś w sztuce ma mieć brodę lub szpakowate włosy o takiej a nie innej koafjurze — szuka się wśród tysięcy aktorów takiego właśnie człowieka, peruk bowiem do-



Po lewej: Czesław Sager-Czaja w charakterystycznej roli.



Powyżej: Wnętrze olbrzymiego kina w Nowym Jorku, które posiada największy żyrandol świata.



Na prawo: A oto chińskie „wcielenie" zdolnego artysty.



Powyżej: Słynny reżyser i twórca teatrów rewjowych Florence Ziegfield przy pracy.



Na prawo: Teatr nowojorski „Roxy" w dzielnicy „Rockefeller City" odznacza się oryginalną architekturą nowoczesną.

Na prawo: Jeden z największych teatrów rewjowych U. S. A. — „Roxy", mieszczący przeszło 6000 osób.



niedawna nie uznawano. Naturalnie, w dodatku mnogość niezliczona różnorodnego materjału aktorskiego utwierdzała jeszcze bardziej amerykańskich producentów w tej ich niezłomnej dotychczas zasadzie. Miałem więc ciężki orzech do zgryzienia — ale również zbyt wiele doświadczenia poza sobą, by się przeciwnościami nie zrazić. Postanowiłem udowodnić Amerykanom, że biały może równie dobrze zagrać kolorowego, tak, żeby widownia uwierzyła, iż ma prawdziwego kolorowego przed sobą. Przez półtora roku przygotowywałem się do tej, małej zresztą rólki, zapuszczając się w głąb przeróżnych dzielnic chińskich w miastach, gdzie graliśmy, studjując zwyczaje Chińczyków, ucząc się po chińsku (w roli były partje, wypowiadane w tym właśnie języku), ucząc się chińskich piosenek i ich wykonywania na sposób chiński, a dalej specjalnie studjowałem djalekt amerykańskiej angielszczyzny Chińczyka, jego sposób zachowywania się w różnych okolicznościach życia, jego tok myślenia i rozumowania, wreszcie wszystko, co tylko nasunął mi szczęśliwy przypadek w tym względzie.

Po półtorarocznem przygotowaniu się przyszedłem do Ziegfielda (a znał mnie on już z roli w wystawionej przez siebie Rio Ricie) i powiedziałem, że chcę zagrać tę rolę. Z miejsca zostałem wyśmiany tak przez niego, jak i przez reżysera. Znaleźli oni już sobie Chińczyka do tej roli, ale okazało się, że mimo zdolności i bezsprzecznej inteligencji (był on studentem jednego z uniwersytetów amerykańskich) Chińczyk nie potrafił zagrać Chińczyka. Wreszcie po wielkich prośbach i zachodach zrobiono ze mną próbę. Wypadła ona dobrze tak pod względem głosowym, jak i technicznym, ale obu Amerykanom nie mogło pomieścić się w głowie, jak ja mógłbym się ucharakteryzować na Chińczyka tak, by mnie nikt nie poznał. Gdy się im pokazałem w odpowiedniej charakteryzacji, przekonałem ich już całkowicie, no i rolę zdobyłem wbrew wszystkim, zakorzenionym pod tym względem u nas przesądom.

Amerykański reżyser zawsze mówi swym aktorom: Gra pan to a to, wygląda pan tak a tak — musi pan zrobić i przeżyć to w ten sposób, żebym ja za chwilę i ci za pół roku, którzy pana będą w tej roli oglądać — uwierzyli, że to nie pan, ale dany bohater rzeczywiście stoi przed nimi. Dopiero jak się tej sztuki dokaże — wychodzą w Ameryce z założenia, że rola jest odpowiednio postawiona, a aktor spełnił swe zadanie. A to nie jest takie łatwe, jakby się zdawało — tu trzeba pracy z zaparciem się siebie, pracy od nocy do rana, pracy takiej, jaką u nas znają tylko prawdziwi, wielcy artyści. Jakże zaś często jest się przy takim wkładzie wysiłków jedynie najskromniejszym pionkiem teatralnej szachownicy, w Ameryce bowiem niema najmniejszej choćby rólki, inaczej opracowanej. — Tam wszystko musi stać na najwyższym poziomie wykonania. Teraz zrozumie pan, dlaczego — chcąc zdobyć tę małą rólkę, tyle się namozoliłem. Inaczej, nie będąc obwarowanym na wszystkie fronty, nie miałbym najmniejszych szans, lub też ubiegłby mnie ktoś inny, któryby wykazałby się staranniejszem przygotowaniem.

— Rzeczywiście, to, co Pan mówi, jest dla nas w Europie rewelacją. Czy równie starannie przygotowuje sztukę reżyser i producent, tak, jak aktor swą rolę?

— O ile nie staranniej! Tu znów posłużę się przykładem, wziętym z teatru Ziegfielda, u którego przez dłuższy czas pracowałem. A tak jest mniej więcej wszędzie — naturalnie myślę tu tylko o scenach pierwszorzędnych, dbających o swą wyrobioną markę.

Z chwilą rozpoczęcia wprowadzania sztuki w próby, zaczyna się praca na „froncie technicznym" jak też artystycznym. Producent łoży pieniądze na jak najlepsze wyposażenie sztuki pod każdym względem. Jak już wspomniałem, sumy wydatkowane przekraczają niejednokrotnie najśmielsze wyobrażenia Europejczyka, dochodzą do pół miljona dolarów i więcej. Rio Rita kosztowała przeszło 350.000 dolarów, inne sztuki więcej lub mniej — zależnie od ich kalkułowania się. Okres prób dzieli się zazwyczaj na cztery części zasadnicze. Pierwsza — to wspólne odczytywanie sztuki i doskonałe opanowanie pamięciowe, budki suflerskiej bowiem i suflera dobry teatr amerykański nie uznaje. Przytem przez cały przeciąg prób nie wolno nikomu podczas nich wydalać się z teatru przed skończeniem próby. Choćby ktoś miał dwa słowa do wypowiedzenia—siedzi przez całą próbę i musi się wżywać w nastrój sztuki i cały mechanizm jej dramatu.

I tak codziennie, aż do premjery, a nawet poza nią, gdyż próby trwają już po premjerze dalej, raz lub dwa razy w tygodniu. — Utrzymuje się ten zwyczaj po to, by aktorzy nie zmechanizowali się i nie obniżyli poziomu, odgrywanego przez dłuższy przeciąg czasu utworu. Druga część czasokresu prób — to „ustawianie" sytuacyj, przyczem wszystko bywa zazwyczaj ściśle odmierzone i „wycyrklowane" do ostatecznych granic. Trzeci okres — to łączenie sytuacyj, montowanie poszczególnych członów sztuki w jedną organiczną całość. — Czwarty wreszcie — to już próby generalne, które pozwalają się zorjentować w całości wykonania. Tu dam panu przykład, jak reaguje producent na najmniejsze choćby niedociągnięcia. — W swoim czasie Ziegfield wystawiał pewną rewję, której jedna maleńka, pięciominutowa scenka otrzymała prześliczną dekorację za dziesięć tysięcy dolarów. Wszystko w niej było właściwie bez błędu, lecz przybyłemu na próbę półgeneralną Ziegfieldowi coś się w tej dekoracji nie spodobało. Padło jedno jedyne słowo: „precz z tem ze sceny" i... całą dekorację wyrzucono na śmiecie, zastępując ją nową, piękniejszą. Dziesięć tysięcy dolarów „poszło spać". A co dopiero mówić o scenach większych! I tak, widzi pan, jest ze wszystkiem...

Adam Cyprian.



Na lewo: Wnętrze teatru „Roxy", posiadającego najlepszy zespół baletowy.

W świetle reflektorów...



Na lewo: Ogólny widok Zamku Wawelskiego w czasie Wianków.
Fot. F. Nowicki — Kraków.



Na lewo w kole: Muzeum Djecezjalne na Wawelu.
Fot. „As".

Poniżej: Wykusz Sukiennic — w głębi wieża kościoła Marjackiego.
Fot. „As".



Na prawo: Wieża gmacha Izby Handlowej na tle plant.
Fot. Nowicki — Kraków.



Poniżej: Fragment plant z „drapaczem" Tow. Feniks przy ul. Basztowej.
Fot. F. Nowicki — Kraków.





Wieża Srebrnych Dzwonów i kopuła Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Fot. „As".



Na lewo: Stara lipa na plantach krakowskich.
Fot. E. Meyszłowicz — Kraków.

Piękno architektury podwawelskiego grodu zyskało podczas „Dni Krakowa" niezwykłego sprzymierzeńca w postaci pomysłowej iluminacji monumentalnych gmachów oraz plant, które pierścieniem okalają najstarszą część miasta. Ukryte w koronach drzew reflektory słały co wieczór promienie różnokolorowego światła na kwietne gazony, grupy egzotycznych palm i szlachetnych krzewów, stwarzając na tle atramentowo czarnego nieba niezapomnianą scenerję.

Idąc w taki wieczór plantami, przyjezdni doznawali niezwykłych wrażeń. Bo oto na niejednem miejscu bliskie sąsiedztwo średniowiecznych budowli i nowożytnych gmachów pozwalało na wytworzenie się wspaniałych kontrastów, które zachwycić mogły oko najwytrawniejszego globtrottera. Surowe za dnia mury obronne opodal Florjańskiej Bramy, a w nich Baszta Ciesielska nabrały nocą w świetle reflektorów rumieńców życia, które pulsowało tam gorącym strumieniem jeszcze za czasów Rzeczypospolitej krakowskiej. Odwróciwszy oczy w przeciwnym kierunku widz spostrzegał imponującą fasadę „drapacza" z ul. Basztowej, wyłaniającą się z ramy oświetlonych drzew niby widmo giganta nowoczesnej architektury.

Ponad całem miastem, otulony najcieńszą zasłoną z mgły, która snuje się z wód pobliskiej Wisły, drzemał Wawel, podmalowany z kilku stron smugami jarzących się reflektorów, a w czasie Wianków dosłownie obsypany niby różnokolorowem confetti deszczem pękających rac i ogni bengalskich. — Fragmenty katedry i zamku zyskały w tem oświetleniu na plastyce, która upodobniła je do najbardziej wizjonerskich dekoracyj dramatów Wyspiańskiego.

J. L.

CIEKAWE DROBIAZGI

250-LECIE SZPILKI DO WŁOSÓW.

I nawet taki drobiazg, jak szpilka do włosów, doczekał się pierwszego bądź co bądź jubileuszu.

W 1656 roku sławny pisarz ówczesnej epoki Armando Sincera doradza w słowach tchnących poezją i wykwintem pięknym paniom, aby swe bujne loki upinały złotemi „iglicami“. Niebawem elegantki XVII wieku zastosowały się do rady Sincera i tak oto powstała data narodzin szpilki do włosów.

Szpilki te wtedy popularnie zwane iglicami, były długości około 25—30 centymetrów. Zrobione były całe ze złota, a główki wysadzane były drogiemi kamieniami.

Amarand w swoich kronikach pisanych w 1715 roku, daje dokładny opis tych szpilek, nie wspomina on jednak o szpilkach zgiętych wpół, o kształcie obecnie używanym.

W encyklopedji Cedlera, wydanej w 1733 roku, znajdujemy również dłuższy artykuł o „iglicach“ ze srebra, złota i „nawet zbronzu“.

Pierwszą wzmiankę o szpilkach do włosów zrobionych ze zgiętego drutu, znajdujemy w listach z podróży sławnego w drugiej połowie XVIII wieku podróżnika Henryka Sandersona. Oto, co pisze Sanderson:

„Po raz pierwszy ujrzałem w Niemczech, że kobiety z ludu upinają swe włosy śmiesznemi i dziwnemi szpilkami, które są wyrabiane ze stali. Są one przegięte przez pół, stanowią jakby wydłużoną „podkowę“ i malowane są na kolor czarny lub granatowy.

„Przywiozłem ze sobą parę takich szpilek, które różnią się zasadniczo od dawnych złoconych iglic i o ileż są brzydsze od tamtych!“.

Szpilki, o których wspomina Sanderson, zalewają wprost rynki świata już w początkach XIX wieku.

Różni są dziwaczni zbieracze na świecie. Mamy więc zbieraczy: pudełek od sardynek, korków od butelek, przepalonych żarówek, krawatów, nawet, jak ostatnio podały pisma, świńskich ogonów, dlaczego więc nie miałoby być zbieracza szpilek do włosów!

Poznałem takiego dziwaka w jednej małej mieścinie brazylijskiej. Miał wcale imponujący zbiór, bo aż 4320 sztuk. O samej wartości zbioru niech świadczy to, że zaasekurowany jest od kradzieży na 45 tysięcy dolarów.

Najcenniejszą w tym zbiorze to szpilka Katarzyny II. Jest ona szczerozłota, długości 35 cm. Główkę stanowi cudownie szlifowany szmaragd 20-karatowy. W szmaragdzie jest wyrzeźbiona litera K.

Obecnie w powszechnym użytku będące szpilki, wyrabiane z falującego druciku, stalowego, pojawiły się po raz pierwszy we Francji w grudniu 1826 roku. Nawet we francuskim urzędzie patentowym przechowany jest dotychczas patent na „podwójne, damskie szpilki do włosów, robione z falującego druciku, aby łatwiej mogły się utrzymać we włosach kobiecych“.

Żeby artykuł mój był kompletny, muszę dodać, że w wydanej w Niemczech w 1805 r. Encyklopedji Technicznej, znajdujemy dokładny opis wyrobu szpilek z drutu.

Zapewne nie wszystkie panie wiedzą, że stare przysłowie głosi, iż „gdy niewieście wypanie szpilka z włosów, wtedy traci jednego adoratora...“.

...a więc piękne panie... baczcie na szpilki!

★ ★ ★

O ile więc szpilki do włosów stały się nabytkiem ostatnich trzech wieków, o tyle z drugiej strony musimy stwierdzić również ubytek pewnych upiększeń głowy kobiecej, dzisiaj zupełnie niespotykanych. Tak przedstawia się sprawa np. z grzebieniem, ozdobnym i stanowiącym dekorację głowy. Spotykamy go obecnie prawie tylko u Hiszpanek i Włoszek, które noszą przytem narodowe nakrycie głowy w postaci pięknych koronek, spotykamy je również u ludów egzotycznych. Normalnie jednak grzebień wyszedł z obiegu a przecież nalżał np. w XVI i XVII wieku do zasadniczych ozdób główki kobiecej. Podobny los spotkał różne ozdoby biżuteryjne, sznury pereł, czepce wysadzane drogiemi kamieniami itd. Powód zarzucenia tego wszystkiego zrozumiały się stanie skoro weźmiemy pod uwagę dzisiejszą technikę życiową. Przecież żadna kobieta dzisiejsza nie miałaby tyle czasu i cierpliwości aby kunsztownie upinać te przeróżne cacka, a zajmuje się niemi jedynie wtedy, gdy wybiera się na przyjęcie, do teatru czy na bal.

Mieczysław Dunin Borkowski.

GDZIE SIĘ WŁAŚCIWIE ZACZYNA STRATOSFERA?

W związku z niedawnym wzlotem kapitana Burzyńskiego i dra Jodko-Narkiewicza, podczas którego wznieśli się oni w otwartej gondoli na wysokość przeszło 10.000 m, nasunęła się kwestja, na jakiej wysokości właściwie zaczyna się stratosfera. Jedni bowiem twierdzili ,że dzielni aeronauci polscy osiągnęli stratosferę, podczas gdy oni sami temu zaprzeczyli. Celem wyjaśnienia tej sprawy podajemy, że płaszcz powietrzny, otulający kulę ziemską, nazywamy atmosferą. — Dolną warstwę tegoż płaszcza powietrznego, a więc i tę, w której my żyjemy, nazywamy troposferą. Ponad troposferą zaś znajduje się stratosfera, ponad nią znowuż tzw. jenosfera. Otóż grubość troposfery wynosi nad równikiem około 18 km, nad biegunem zaś tylko 9 km. W naszej szerokości geograficznej stratosfera zaczyna się mniej więcej na wysokości około 13 do 14 km. W troposferze przebiegają wszystkie ważniejsze zjawiska meteorologiczne. W stratosferze zaś znajduje się na wysokości około 20 do 30 km. nad ziemią warstwa szczególnie bogata w ozon. Gaz ten stanowi najpoważniejszą przeszkodę dla balonów i sond balonowych, przy wznoszeniu się do wyższych regjonów powietrza. Na wysokości około 100 km zaczyna się jonosfera, która składa się z kilku warstw naprzemian, dobrze i źle elektryczność przewodzących. Ta właśnie jonosfera wywiera decydujący wpływ na rozprzestrzenianie się fal radjowych na powierzchni ziemi.

Jak z powyższego widzimy, nasi aeronauci osiągnęli coprawda tylko wyższe warstwy troposfery, ale mimoto wyczyn ten zarówno pod względem lotniczym, jak i wyników naukowych uważać należy za bardzo znaczny.

(ad).

„DOM POLSKI“ W WARNIE



„Dom Polski“ w Warnie (Bulgarja) nad Morzem Czarnem, własność Zarządu Miejskiego m. st. Warszawy, położony jest w bardzo malowniczej okolicy, w odległości około 20 m od morza. Jego urządzenie, jak również własna plaża, ciepłe kąpiele morskie i natryski, stawiają go w rzędzie najwytworniejszych hoteli zagranicznych. Informacje dla członków Związku Rezerwistów i Rodziny Rezerwistów: Biuro Obozowe Związku Rezerwistów — Warszawa, ul. Chmielna 2. m. 3., tel.: 603-33, dla osób prywatnych w firmie „Orbis“.

NOWA KLINIKA W KRAKOWIE



Niedawno otwarta nowa Klinika ginekologiczna w Krakowie odznacza się najbardziej nowoczesnemi urządzeniami, które wzbudzają podziw nawet zagranicznych gości. Również i wygląd zewnętrzny budynków Kliniki przedstawia się bardzo korzystnie, przyczem na szczególną uwagę zasługuje otoczony quasi arkadami, dziedziniec, który widzimy na powyższem zdjęciu.



THE HIGHEST LIFE

Powyżej: Na polu golfowem w Łańcucie. Po prawej stoi hr. Alfred Potocki, obok, po lewej, oparta o ławkę znana sportsmenka Arturowa hr. Potocka.

Z zainteresowaniem czytamy często w gazetach o niesłychanych bogactwach egzotycznych książąt hinduskich, o przepychu, jakim otaczają się multimiljonerzy amerykańscy, z ciekawością śledzimy różne zdarzenia z życia arystokracji angielskiej, a przeważnie mało wiemy o tem, że i u nas w Polsce nie brak bogatych arystokratów, żyjących na wyżynach międzynarodowego high life'u i na poziomie życiowym, jakiego nie powstydziliby się nawet najwięksi potentaci Nowego Świata.

Dziwne uczucie ogarnia przeciętnego śmiertelnika, który przypadkowo (jak autor niniejszego artykuliku) znajdzie się w małem u dzielnem państewku, jakich już tylko kilka



Na prawo: Reprezentanci łańcuckiej linji Potockich — ordynat Alfred (po prawej), oraz brat jego Jerzy, ambasador R. P. w Waszyngtonie.

istnieje w Polsce. Takiem państewkiem jest Ordynacja łańcucka, najwspanialsza w Polsce siedziba magnacka, własność Alfreda Potockiego. Kilka dni pobytu w Łańcucie, to nieprzerwany ciąg wrażeń, jak przy czytaniu fantastycznej opowieści z tysiąca i jednej nocy, lub oglądaniu czarownych obrazów ustawicznie się zmieniających. Opisać te wszystkie cuda z bajki, to trudne zadanie.

Sercem ordynacji jest jej zamek, który z zewnątrz znają zapewne wszyscy czytelnicy, gdyż widoczny jest dokładnie z okien wagonu na linji Kraków-Lwów. Okazały prostokątny budynek o niezwykle regularnych prostych linjach, położony w przepięknym parku, wywiera wrażenie dostojności i powagi, nie zaś grozy i dzikości, jak posępne zamczyska niemieckie, budowane na niedostępnych skałach, ani też lekkości i kokieterji, jak niektóre zameczki francuskie. Dla ścisłości musimy podać ciekawy szczegół: oto popularna nazwa „zamek w Łańcucie", nie jest usprawiedliwiona z punktu widzenia budownictwa; zamek musi koniecznie „zamykać" dziedziniec (po niemiecku „Schloss" i schliessen), jak np. Wawel, Łańcut zaś to pałac, podobnie jak Wilanów, co oczywiście niczem nie umniejszy jego wspaniałości.

Wnętrze pałacu mieści w sobie nieprzebrane skarby sztuki i aby je szczegółowo wymienić, należałoby napisać kilka grubych tomów. W dziesiątkach pokoi, salonów, sal balowych i reprezentacyjnych, ciągnących się w długich amfiladach, podziwiamy pyszne, stylowe meble rozmaitych stylów i epok. Na lśniących parkietach o dyskretnych deseniach ścielą się bajeczne dywany perskie, tureckie, smyrneńskie, olśniewając bogactwem barw i wzorów.

Galerja obrazów, którą słusznie szczyci się ordynat łańcucki, stanowiłaby chlubę każdego z wielkich muzeów sztuki w Europie. Płótna pendzla starych mistrzów włoskich, holenderskich, niemieckich wiszą obok arcydzieł największych polskich artystów.

Jakiem uznaniem cieszy się hr. Potocki jako zbieracz dzieł sztuki, świadczy fakt, iż specjalnie przysłano delegatów z Paryża, aby uzyskać na wielką wystawę malarstwa francuskiego kilka znakomitych arcydzieł Boucher'a (1703-1770) i Fragonarda (1732-1806).

Poważnie spoglądają ze ścian stare portrety słynnych antenatów hrabiego; dumne postacie hetmanów i rycerzy, dostojne oblicza kanclerzy, prymasów, kardynałów i senatorów. Na złocistych ramach widnieją nazwiska, które przez całe wieki wypełniały naszą historję, przyczyniając Ojczyźnie wiekopomnej sławy. Z nowszych czasów mistrzowskie portrety Axentowicza odtwarzają ostatnie pokolenia słynnego rodu.

Wiele generacji złożyło się na to, aby nagromadzić w Łańcucie duże zbiory drogocennych dzieł polskiej wytwórczości, które już dziś należą do naszych historycznych pamiątek narodowych. Zbiory starej broni polskiej, szabli damasceńskich, staroświeckich pistoletów, przepięknie grawerowanych strzelb wszelkiego rodzaju, stare zbroje rycerskie, to



Powyżej: Jeden z salonów zamku łańcuckiego z stylowemi meblami i portretami rodzinnemi.



W kole: Wśród wyb[redacted] gości Łańcuta znalazł się również p. Prezydent R. P. Ignacy Mościcki, którego widzimy wraz [redacted]



Na prawo: Wielki salon w Łańcucie z meblami rokokowemi i wspaniałemi zabytkami sztuki.



Powyżej: Do najcenniejszych obrazów galerji w Łańcucie należy „Toaleta Wenus", Fr. Boucher'a.



Na prawo: Z łańcuckich polowań par-force.— Ordynat Potocki w otoczeniu swoich gości.

wszystko czyni z zamku łańcuckiego nieprzebraną skarbnicę polskiej kultury magnackiej z czasów wielkiej świetności polskich rodów.

Mimo historycznej patyny, zamek wyposażony jest we wszystkie nowoczesne urządzenia, które przyczyniają się do miłego i wygodnego życia mieszkających. Komfort i luksus przebija tu wszędzie, mogąc zaspokoić nawet najwybredniejszych sybarytów. Przepych łańcucki zilustruje najlepiej następujące zdarzenie. Kiedy królowa rumuńska Marja bawiła w Polsce, była również przyjmowana przez kilka dni w Łańcucie. Wyjeżdżając, zapraszała hr. Potockiego do Rumunji: „...ale niestety, panie hrabio — dodała Jej Królewska Mość — u nas nawet królewski zamek nie zrówna zbytkom Łańcuta!".

Wokół zamku rozciąga się olbrzymi, bezwątpienia najpiękniejszy w Polsce park, o prześlicznych murawach, cienistych alejach i wspaniałych fontannach. — Liczne klomby kwiatów, projektowane przez ogrodnika-artystę, napawają oczy znawców nieskazitelną harmonją barw.

Doskonały plac tenisowy w parku i piękny teren golfowy dostarczają miłej rozrywki na świeżem powietrzu. Stajnia zamkowa pełna rasowych wierzchowców i koni wyjazdowych, nie brak też specjalnych angielskich koników do gry w polo na specjalnem boisku. Kilkadziesiąt powozów, wśród których nie brak i zabytkowych, jakiemi jeszcze dawniej magnaci jeździli latem „do wód", oraz wspaniałych karoc, używanych jedynie do ślubu, wypełnia obszerną wozownię. Ale i nowoczesne rumaki są godnie reprezentowane: królewski Rolls Royce panuje dumnie w garażu, o wyglądzie salonu, otoczony dworem luksusowych Packardów.

A gości w Łańcucie nie brak. Hrabia Alfred Potocki, to postać znana dobrze w salonach arystokratycznych zagranicy. Znaczną część życia spędził ordynat zagranicą w wielkim świecie angielskim i francuskim. Znają go bywalcy Riviery i wszystkich wytwornych kąpielisk europejskich. W Paryżu, czy Londynie, wszędzie jest u „siebie", spokrewniony z wieloma wielkiemi rodami zagranicy, bywa częstym gościem arystokracji, którą później skolei gości u siebie w Łańcucie. Hrabia Potocki przyjmował wielu książąt, maharadżów, a nie należały do rzadkości również głowy koronowane i najwyżsi dostojnicy państw: bawił również w Łańcucie Pan Prezydent Mościcki.

Często staje się Łańcut miejscem spotkań towarzyskich polskiego świata dyplomatycznego, w którym Potoccy zawsze odgrywali wielką rolę (obecnie brat ordynata, Jerzy Potocki, jest ambasadorem Rzeczypospolitej w Waszyngtonie).

Bale i polowania w Łańcucie, to najważniejsze wydarzenia w życiu arystokratycznem Polski. Polowania należą do naj-



Powyżej: Elżbieta z książąt Radziwiłłów Potocka, matka ordynata, jest doskonałą amazonką.

lepszych i najokazalszych w Małopolsce, olbrzymi obszar lasów kryje w sobie moc zwierzyny grubej i mniejszej. Łańcut jest jednym z niewielu już dworów magnackich w Polsce, gdzie stale odbywają się malownicze polowania „par force" z psami; zaś psiarnia zamkowa nie ma sobie równej w Polsce.

Ordynat łańcucki jest rzeczywiście „grand seigneur'em" w każdym calu, nie można się dziwić, że tak często i chętnie zjeżdżają się do niego wykwintni goście z całego świata. Zapalony myśliwy i sportowiec potrafi całe godziny spędzać na długich forsownych wycieczkach ze strzelbą na ramieniu; świetny strzelec ma wśród swych trofeów myśliwskich niejedną grubszą zwierzynę, las rogów zdobi zaś ściany wielu pokoi zamkowych. Konie i psy to jego główna namiętność, jego psiarnia może iść o lepsze jedynie z wspaniałą stajnią. Stajnie i hodowle koni w Łańcucie dzierżą prym w całej Polsce i ostatnio szeregiem wielkich zwycięstw na torach wyścigowych całej Polski konie z Łańcuta wysunęły się na czoło (wystarczy wspomnieć pierwsze miejsce na Derby warszawskiem w 1932 i 1935 r. koni „Essor" i „Impet II").

Wzorowa hodowla koni na folwarku Albigowa jest wciąż zasilana pełnej krwi ogierami angielskiemi i arabskiemi, po które wysyła ordynat ekspedycje nawet do Afryki. Ostatni pokaz koni w Krakowie zakończył się niebywałym sukcesem stajni łańcuckiej, która zagarnęła wszystkie premje bez wyjątku, zostawiając daleko poza sobą wszelkie inne hodowle małopolskie.

Hrabia Alfred Potocki z zapałem oddaje się grze w tennisa i w golfa, w którym celuje.

Zamek w Łańcucie należałoby nazwać ambasadą Rzeczypospolitej Polskiej w rozległem, choć szczupłem liczebnie kosmopolitycznem państwie arystokracji, zaś Alfreda hr. Potockiego ambasadorem Polski na tym terenie.

Nie należy jednak sądzić, że życie ordynata, to jedna nieprzerwana zabawa.

Jak każdy suweren, tak i ordynat ma swoje obowiązki i to niemałe...

Zamek, to stolica państewka, które szeroko rozpościera się, jak tylko okiem sięgnąć wokoło... Ordynacja łańcucka obejmuje kilkadziesiąt tysięcy hektarów ziemi ornej, łąk i lasów; jest trzecią w Polsce co do obszaru posiadłością po ordynacjach zamojskiej i nieświeskiej.

Dzieli się ordynacja na małe prowincje-klucze, liczące po kilka folwarków. Stwarza ona mnóstwo potrzeb i daje pracę tysiącom ludzi, napozór niezwiązanych bezpośrednio z ordynacją.

Olbrzymie gospodarstwo łańcuckie jest wysoce uprzemysłowionem i posiada szereg zakładów przemysłowych: browar, likiernię, rafinerję, cegielnie, tartaki i wiele innych. — Oczywiście ordynacja zatrudnia całe sztaby zarządców, buchalterów, kierowników warsztatów, kontrolerów, majstrów i daje pracę olbrzymim armjom pracowników rolnych i robotników fabrycznych.

Mimo sprawnej administracji, ordynat osobiście kieruje najważniejszemi sprawami swego państewka i codziennie przedpołudniem urzęduje w biurach ordynacji z „premjerem" swego rządu, p. S. Dwernickim, dyrektorem dóbr i lasów ordynacji, omawiając plany gospodarcze.

Nie potrzeba chyba dodawać o niebywałej popularności, jaką cieszy się ordynat wśród całej ludności. Mimo całej swej świetności i bogactwa, jest niezwykle ujmujący w rozmowie z każdym, nawet najuboższym petentem, których dziesiątki zgłaszają się codziennie do jego biur, a żaden nie odchodzi niezadowolony. Ordynat wspiera i kieruje szeregiem akcji dobroczynnych i oświatowych na terenie swych posiadłości i w zupełności zasługuje na miano arystokraty nietylko z nazwiska, ale i ducha.

Zygmunt Czyżowski.

PUSTYNNY GALOP...
Stado słoni sfotografowane z samolotu wyprawy Johnsonów do Afryki. →



ŻYCIE ARTYSTYCZNE

„POLSKA GWARDJA“ CECILE SOREL



Balet Wysockiej, który od szeregu tygodni bawi w Paryżu, został ostatnio zaangażowany do wielkiego music-hallu „Alcazar“. Polki zdobyły sobie przebojem sympatję zarówno widowni, jak i całego personalu artystycznego w otoczeniu którego występują. W ich szeregach widzimy następujące tancerki: Tamarę Suchotiń („kapitan“ zespołu), Polę Distel, Basię Domaniecką, Mary Gray, Krysię Janiakównę, Jankę Kędzierską, Hanię i Zosię Lebedowiczówne, Jasię Smoszewską i Stachę Szczygielską. Dyr. Varnie z „Alcazara“ nie angażował je dla tańców polskich — przeciwnie, z trudem tylko udało się włączyć do programu jeden taniec ludowy, „Kujawiak“ Lady. Uczenice Wysockiej wykonują szereg numerów typowo rewjowych, jak Prolog wraz z baletem angielskim, „Lila-walc“, taniec nimf, taniec z parasolkami i in. Biorą też udział w obu finałach, jako „gwardja“ Cecile Sorel, najwybitniejszej artystki Francji (na zdjęciu). Fot. Isabey — Paryż.

ŚLUB TAUBERA



Przed kilku miesiącami zamieściliśmy wiadomość o zaręczynach jednego z najpopularniejszych śpiewaków europejskich, Ryszarda Taubera z doskonałą aktorką angielską Djaną Napier. Kilkakrotne odkładanie ceremonji ślubnej spowodowane było skomplikowanym procesem rozwodowym tenora, który dopiero w ub. miesiącu uzyskał rozwód z pierwszą swą żoną z domu Vanconti. — Na zdjęciu Tauber i Djana Napier opuszczają Urząd Stanu Cyw. w Londynie.

Fot. Wide World Photos — Londyn.

CHÓR DANA

Najpopularniejszy zespół polskich revellersów wybiera się już wkrótce na wielkie tournée artystyczne po Stanach Zjednoczonych A. P. Obecnie sympatyczni Daniści żegnają się z krajem, objeżdżając miasta prowincjonalne i miejscowości klimatyczne — wszędzie przyjmowani niezwykle owacyjnie.

Fot. M. Jędryk — Morszyn-Zdrój.



PROKOPIENI W KRAKOWIE



Paweł Prokopieni, którego walory śpiewacze oceniła zagranica niezwykle korzystnie, wystąpił ostatnio w Krakowie z własnym koncertem w Starym Teatrze. Recital sympatycznego śpiewaka odbył się w niezwykle przyjaznej atmosferze, jaka wytworzyła się wśród tłumnie zebranej publiczności już po pierwszej części programu. Niemilknące brawa towarzyszyły każdemu pojawieniu się Prokopieniego na estradzie. Na zdjęciu: Artysta na tle architektury dziedzińca Bibljoteki Jagiel. w Krakowie.

Fot. „AS“.



KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 7.

Napisał H. WILD — POWIEŚĆ — Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

Niedługo znaleźliśmy się wśród ciemnej i głuchej nocy. Zawieszeni między czarnością nieba i czarnością rzeki, słyszeliśmy jedynie plusk poruszanej wiosłami wody. Harcourt, który sterował, usiadł przy nieznajomej.

— A teraz — rzekł cicho i łagodnie — musi mi pani dać pewne wyjaśnienia. Nie jestem panem na tym okręcie — a ten, który nim dowodzi nie jest bynajmniej wygodnym jegomościem... Będę musiał wytłomaczyć przed nim obecność pani na statku... Gdzie pani chce jechać?

A ona odzyskała już nieco pewności siebie — może dlatego, iż czuła się daleko od brzegu i że noc okrywała ją teraz swym cieniem — bo kiedy zaczęła mówić, głos jej brzmiał silniej. Latarnia zawieszona na dziobie łodzi rzucała tak słabe światło, iż zaledwie mogliśmy rozróżniać nasze twarze.

— Jestem pani Koo — usłyszałem — żona tego Chińczyka, handlarza herbaty...

— Domyślałem się tego — szepnąłem.

Bo tak było rzeczywiście. Chwilę przedtem przyszło mi to już na myśl...

Wtedy Harcourt kazał przestać wiosłować swym ludziom i łódź, objęta odpływem, który właśnie się zaczynał, niosła się wolno sama ku morzu.

— Proszę mówić prędko — zwrócił się do młodej kobiety — nie mogę zwlekać dłużej... Trzeba mi być już na statku... Niech pani mówi śmiało — dodał cieplej — zrozumiemy przecież panią...

— Wyszłam zamąż we Francji — zaczęła. — Mr. Koo znalazł się wtedy chwilowo w Lyonie — zajmował się handlem jedwabiami i herbatą. Byłam wtedy bardzo młoda — nie miałam pojęcia o niczem, poza Francją... Spodobałam mu się... Rodzice moi byli biedni — ot, tacy drobni kupcy na przedmieściu... Mówiono mi, co zresztą było prawdą — że Mr. Koo jest bardzo bogaty — a ja byłam taka młoda... Ani mi się podobał specjalnie — ani niepodobał... a podróż w daleki świat nęciła... Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co robię... Życie na Dalekim Wschodzie — takie nowe, nieznane — wydawało mi się —jakby to powiedzieć...

— Tak — przerwał jej Harcourt — Daleki Wschód — czarodziejski miraż! Pewnie niedawno czytała pani wtedy „Tysiąc Nocy i Jedna" — zdawało się pani, że będzie księżniczką z bajki — prawda?... Biedna mała...

Mrs. Koo milczała przez chwilę, tłumiąc łkania; wreszcie odparła:

— Tak — tak właśnie było...

Nastała znów chwila milczenia, nim zaczęła mówić dalej:

— Ślub nasz odbył się — i zaraz były między nami... czułam, że...

Mówiła z trudem — wstyd hamował jej słowa. Milczeliśmy także. Nagle zaczęła mówić prędko:

— Wmawiałam w siebie, że przywyknę... Wkrótce po ślubie wyjechaliśmy. Mr. Koo obsypał mnie podarunkami — rodzinę moją również. Wspaniałe hafty — snycerskie roboty... Zrobił na wszystkich doskonałe wrażenie — był bardzo łagodny... Lecz ja, zaraz po ślubie poczułam... coś, jakby wstręt. Ale to jeszcze nie było takie wyraźne... Jak powiedziałam, myślałam, że nałamię się... Zresztą, gdybym się była wyrwała z tem przed mojem otoczeniem, byłabym naraziła się na surową naganę... Wszyscy byli zakochani wprost w moim mężu... wstydziłam się odkrywać przed nimi...

Znowu wstyd nie pozwolił jej mówić dalej. A Harcourt rzucił cicho:

— Co potem? — proszę...

— Na okręcie, podczas podróży Mr. Koo był uprzedzająco grzeczny. Zachowanie jego było jeszcze takie, jak... jak nasze, ludzi Zachodu... Podróż upajała mnie. To wszystko było takie nowe, dla mnie, która tak mało dotąd widziałam, w mem krótkiem, spokojnem życiu na prowincji... Zatrzymaliśmy się na Colombo i w Singapore. Mąż mój kupował mi wszędzie piękne rzeczy. Ale przypominam sobie, że już na statku wzbudzaliśmy pewne zdumienie: Chińczyk, żonaty z Europejką! Czułam, że patrzono na nas dziwnie i szeptano potem... Wyobrażałam sobie, że rzadkość podobnej sytuacji robiła taką sensację... I tak przybyliśmy do Swatow, gdzie był dom mego męża. Ze swemi brudnemi, błotnistemi uliczkami, Swatow wydało mi się okropne! A dom Mr. Koo — było w nim dużo pięknych rzeczy — ale życie w nim było tak kompletnie różne od życia u nas! Wszystko tam raziło mnie... Idąc za niego, wyobrażałam sobie naiwnie, że mając żonę Europejkę, Mr. Koo będzie szanował jej gusta, przyzwyczajenia i że pozwoli mi żyć na sposób europejski... Gdybym była przynajmniej czuła się szczęśliwą w pożyciu z nim — byłabym nałamała się do tego obcego dla mnie życia... Ale... sama osoba mego męża... O, niechże mnie panowie zrozumieją — niech nie muszę mówić wyraźnie o tych rzeczach... Jednem słowem w bardzo niedługim czasie, życie w domu mego męża stało się dla mnie okropne! Okropne!

— W dwóch słowach powiem, jak to było — przerwał jej znowu Harcourt. — W domu Mr. Koo czekała panią teściowa, Chinka — p•trząca oczywiście w odpowiedni sposób na synowę, cudzoziemkę... Abstrahując nawet od wstrętu fizycznego, jaki w pani budził — Mr. Koo, kiedy znalazł się u siebie, stracił cały dotychczasowy polor człowieka zachodniego...

— Tak — tak! — potwierdziła z żywością. — Pozostał jednakże uprzejmy i grzeczny — tego nie mogę mu zaprzeczyć.

— Chińczyk! — odezwałem się. — Czy widział kto kiedy nieuprzejmego Chińczyka?

— Tak — ale nagle stał się zamknięty w sobie i zupełnie niezrozumiały dla mnie. A ja — ja byłam zmuszoną być dalej jego żoną... Choć coraz większym przejmował mnie wstrętem... Męka — okropna męka! — I trwało tak... ciągle... Gdybyż był przynajmniej zostawił mnie w spo-

koju! Ale on — on narzucał się — zmuszał mnie...

Mówiła coraz ciszej, nagle wzdrygnęła się cała i wybuchnęła:

— O, jakiż on jest wstrętny!!

— Zawielka różnica ras — niemożność współżycia... — szepnął jakby do siebie Harcourt. — Biedne dziecko! Okropne położenie — tak, okropne! — I to już wszystko? — zwrócił się do niej.

— Nie — odparła cicho i jęła mówić ze wstydem: — Niedługo po naszem przybyciu do Swatow, Mr. Koo wprowadził do domu kobietę — Chinkę — nałożnicę... Nie byłam przygotowana na coś takiego. Nie podejrzewałam nawet możliwości czegoś podobnego... Bo i skądże?! Nie wiedziałam przecież nic o życiu tutejszem — rodzice moi również... i wszyscy tam u nas... Było to dla mnie upokorzenie — nie do zniesienia! Byłam oburzona — i powiedziałam mu to... Nie o tę kobietę mi chodziło. I owszem — niechby ją miał! Tylko niechby mnie już wtedy zostawił w spokoju. Ale on zdawał się nierozumieć tego... Nie oddalił tej kobiety — a ze mną chciał dalej... Zupełnie nie rozumiał, że...

— Oczywiście — rzekłem. — Ale kobieta ta nie miała przecież pierwszego miejsca w domu?

— Nie. Toteż Mr. Koo powiedział mi z wielkim spokojem, że nie rozumie mego oburzenia — że przecież stawia mnie wyżej od tamtej — że jestem jego rzeczywistą żoną — nie nałożnicą. Jego p i e r w s z ą żoną! — Pierwszą żoną! — Samo to pojęcie dławiło mnie ze wstrętu! A Mr. Koo był zdumiony, iż nie uważałam tego za szczególne wyróżnienie! I kiedy przychodził do mnie... nalegał... zmuszał... do tego wstrętu, jaki już miałam do niego, jeszcze ta myśl... (tu głos jej zniżył się prawie do szeptu), że wraca może właśnie od tamtej... O, jakże nienawidziłam go! Tego nikt nie zrozumie, jak bardzo nienawidziłam go! I powiedziałam mu to! Oznajmiłam mu, że chcę odejść. Ale on... jemu jeszcze na mnie zależy... I to jest okropne! Zamknął mnie — kazał strzec zbliska... Zmusił mnie ubierać się po chińsku — nie pozwolił zbliżać się do Europejczyków — otoczył mnie samemi Chinkami... O czemże mogłam mówić z niemi? Nie mamy ani jednej myśli wspólnej! A potem te dwie — teściowa i ta Chinka, nałożnica — sprzysięgły się przeciw mnie. Nienawidzą mnie za to, że jestem cudzoziemką — niezależną. Dla nich jestem wiecznym buntem w domu, bo nie mogę znieść ani ich, ani ich życia... Dokuczają mi. Przeszłam prawdziwe moralne tortury... Zdawało mi się nieraz, że oszaleję! I byłabym oszalała w końcu...

— Trzeba było — rzekłem — zwrócić się do konsulatu...

— Nie mogłam. Byłam tak strzeżona! A potem wiedziałam, że to byłoby nadarmo. Jestem przecież jego legalną żoną — on jest moim panem! Dziś nie pomogłoby mi już schronić się do konsulatu, bo konsul byłby zmuszony wydać mnie mężowi...

Umilkła, a po chwili, tym swoim pięknym, wzruszającym głosem powiedziała wolno:

— I oto od pięciu lat żyję w ten sposób!

— Proszę darować — rzekłem — ale czy pani ma dzieci?

— O nie! — żachnęła się ze zgrozą. — Nie! — Bogu niech będą dzięki! Mr. Koo ma dzieci, ale z tamtą, z tą Chinką...

— Proszę mi darować jeszcze i to pytanie — ciągnąłem dalej — ale to jest konieczne: czy Mr. Koo upomina się teraz jeszcze o swoje prawa małżeńskie — teraz, kiedy pani nie kryje przed nim swego wstrętu?

Milczała znów chwilę. Zdałem sobie nagle sprawę, że musiała być do głębi zawstydzoną i upokorzoną mojem pytaniem — i pożałowałem go.

— Tak — wyrzekła wreszcie. — Nagle krzyknęła, łamiąc ręce: — Ja nie mogę już — nie mogę dłużej! Umarłabym chyba!

— A któż pani dał znać o naszym wyjeździe? — zapytał po chwili Harcourt.

— Zdarzyło mi się widzieć kilka razy u Mr. Koo pewnego Francuza. Przychodził w interesach... Pierwszym i drugim razem nie udało mi się nawet przemówić do niego — Mr. Koo był w domu wtedy... Ale niedawno, miesiąc temu może, Mr. Koo nie wrócił jeszcze z miasta, a w domu Chinki nie wiedziały, że wpuszczono Europejczyka... W pośpiechu mogłam zamienić z nim słów kilka — wytłomaczyć mu. Radził mi uciekać — dostać się na okręt... Obiecał, że zawiadomi mnie o odjeździe pierwszego europejskiego okrętu... Nie mógł powiedzieć nic więcej, bo usłyszeliśmy na podwórzu wracającego Koo... Musiałam uciekać do moich pokoi. Od tego dnia czekałam — czekałam ciągle! Dziś — przed chwilą — Francuz ten zjawił się... Zobaczyłam go z okna — on również spostrzegł mnie i nieznacznie, przechodząc podworzem, upuścił karteczkę... Zbiegłam natychmiast i porwałam ją. Na kartce wyczytałam, że u wejścia rzeki stoi okręt europejski i że o świcie ma odbić od brzegu...

— Kto jest ten Europejczyk — ten Francuz? — zapytałem.

— Nie wiem — powiedziała prędko i ciągnęła dalej opowiadanie: — Wtedy spiesznie spakowałam moje europejskie suknie i, dzięki cudownemu wprost przypadkowi, udało mi się wymknąć niepostrzeżenie z domu. W chińskiem przebraniu przemknęłam się przez przedmieścia Swatow — w jakimś ciemnym zaułku przebrałam się... Długo błądziłam, nim natrafiłam na rzekę — ukryłam się tu, przy ujściu i czekałam na panów... Tak strasznie bałam się, że może spóźniłam się — może wróciliście już na okręt! Czekałam długo w trwodze — i Boże mój! — to szczęście, kiedy zobaczyłam was!

— Nie można na to pozwolić — rzekł z mocą Harcourt! — To jest niedopuszczalne. Proszę mi zaufać — zabiorę panią stąd. — Proszę być spokojną.

Kobieta załkała nagle i chwyciła jego rękę.

— Płynąć do okrętu! — rzucił Harcourt rozkaz załodze, jakimś chrapliwym głosem. Widziałem, że opanowało go to samo wzruszenie co i mnie. Po chwilii dobiliśmy do Fai-tsi-longu.

Mimo wszystko, co nasłuchałem się o jego niezwykłej uczciwości kupieckiej, Mr. Koo nie cieszył się już zupełnie w tej chwili moją sympatją...

VIII.

Po wąskiej drabince, młoda kobieta, którą wzięliśmy między siebie, wydrapała się na pokład. Ciemno tam było i pełno na podłodze najróżnorodniejszych przedmiotów, rozrzuconych w nieładzie. Wejście na pokład znajdowało się tuż przy zejściu do kabiny i wisząca na ścianie jej lampa rzucała w tem miejscu nieco światła na pokład.

(ciąg dalszy nastąpi).



W pośpiechu mogłam zamienić z nim słów kilka — wytłomaczyć mu...



Metamorfozy

Na scenie rewji co chwila
zmieniasz kostjumy swoje —
raz z kwiatu jak kwiat się wychylasz,
raz jesteś wytwornym boyem.

Oklaski, blaski, muzyka
królujesz, piękna, na scenie —
aż nagle wszystko ucicha,
zostaniesz tylko wspomnieniem...



M. M. DUDREWICZOWA

V. KORONKI KLOCKOWE





Powyżej: Schemat wstawki klockowej z pajączkami, wykonanej z ośmiu par. — Po prawej: Wstawka klockowa z pajączkami wykonana z ośmiu par, w tem pajączki o czterech parkach.

PAJĄCZKI.

Pajączki należą do motywów często w koronkach klockowych używanych, a bardzo dla klockowania typowych. Robimy je na 4—6—8 parek. Sam pajączek robiony jest ściegiem płócienkowym, nóżki pajączka to pojedyńcze parki, kręcone cztery razy. Na ilekolwiek parek robiony jest pajączek, zawsze klockujemy go, zaczynając od dwóch środkowych parek, do tego przeznaczonych.

Do wykonania wstaweczki z ośmiu parek, przedstawionej obok z rysunkowym schematem, zawieszamy w punkcie —a dwie parki, w punkcie —b 4 parki i w punkcie —c 2 parki. Zaczynamy klockować wstaweczkę od połowy pajączka, przerabiając zwyczajnie punkty a—c i odkładając skrajne parki na tył poduszki.

W punkcie —b mamy zawieszone 4 parki. Przerabiamy najpierw dwie środkowe, wbijając chwilowo nadprogramową, większą szpilkę pomiędzy niemi, najlepiej w środek następnego pajączka. (W początkowej fazie nauki pajączków szpilka ta jest konieczna, aby się parki przerabiane nie pomieszały).

Teraz klockujemy z prawej strony nadprogramowej szpilki, gdzie mamy 2 parki. Przerabiamy je i odpinamy prawą parkę szpilką na boku. To samo robimy z lewej strony, odpinając lewą parkę z lewej strony poduszki.

Tak przerobiony został pierwszy rząd pajączka. Następuje wykonanie drugiego rzędu: po obu stronach pomocniczej szpilki poniżej pajączka mamy dwie parki. Wyjmujemy na chwilę szpilkę pomocniczą i przerabiamy te parki. Szpilkę wpinamy znów poniżej w to samo miejsce, pomiędzy zwisające nitki obu parek. Teraz bierzemy do rąk i te dwie środkowe pary i parki, odpięte na bok od roboty pajączka. Te cztery parki stanowią nóżki pajączka, które potem po czterokrotnem przekręceniu przerabiamy ze skrajnemi parkami wstaweczki, tworząc dziurki jej tła.

Przystępujemy do wykonywania dziurek z prawej strony pajączka. Bierzemy parkę górnej nóżki pajączka, kręcimy cztery razy, a lewą parkę z punktu —c kręcimy dwa razy. Obie te parki przerabiamy, wbijamy szpilkę w punkt —d i przerabiamy po szpilce. Następnie parki z punktów d—c stworzą punkt —e na samym brzegu wstaweczki. Teraz bierzemy parkę drugiej nóżki i pajączka z prawej strony, kręcimy cztery razy i przerabiamy punkt —f. Następnie parki z punktów f—e stworzą punkt —g. Parki zaś z punktów g—e stworzą punkt —h, znowu na brzegu wstaweczki.

Mamy w ten sposób przygotowane do następnego pajączka dwie parki z prawej strony, a to z punktów f—g.

Z lewej strony powtarzamy klockowanie w ten sam sposób, jak były wykonane dziurki z prawej strony. Prawa parka z punktu —a, dwa razy kręcona, oraz parka nóżki pajączka z lewej strony, kręcona cztery razy, utworzą punkt —i. Parki z punktów a—i stworzą punkt skrajny —j. Następna parka nóżki pajączka z parką z punktu —i stworzą punkt —k. Parki j—k dadzą punkt —l, zaś parki j—l stworzą punkt —ł. Jesteśmy znowu na brzegu wstaweczki, mając do roboty pajączka z lewej strony parki z punktów k—l.

Wykonanie całego pajączka z czterech parek obejmuje c z t e r y r z ą d k i, które kolejno przerobimy.

P i e r w s z y r z ą d e k p a j ą c z k a: Parki z punktów k—f (nóżki pajączka) kręcimy po cztery razy, przerabiamy i wbijamy szpilkę w punkt —y, to jest w środek pajączka. Po wbiciu szpilki parek nie przerabia się. Z prawej strony szpilki bierzemy parkę i przerabiamy ją z parką z punktu —g, cztery razy kręconą, bo to nóżka pajączka. Prawą parkę podpina się szpilką z boku poduszki, lewa pozostaje wisząca przy punkcie —y. Do parki z lewej strony szpilki dobieramy parkę z punktu —l, która jako nóżka pajączka, musi być cztery razy przekręcona. Po przerobieniu tych parek, lewą odpina się na bok poduszki, a prawa pozostaje przy szpilce.

D r u g i r z ą d e k p a j ą c z k a: Pozostałe w punkcie —y dwie parki przerabiamy i wpinamy szpilkę z punktu —y pomiędzy nie. Obciągamy dokładnie wszystkie cztery pary, z których powstała już nasza połowa pajączka, wyjmujemy na chwilę szpilkę pomocniczą —y dla lepszego wyrównania nitek, które ściągamy wdół, uważając jednak, by pajączek nie został zbyt silnie zwężony. Po wyrównaniu wpinamy znowrotem szpilkę w punkt —y.

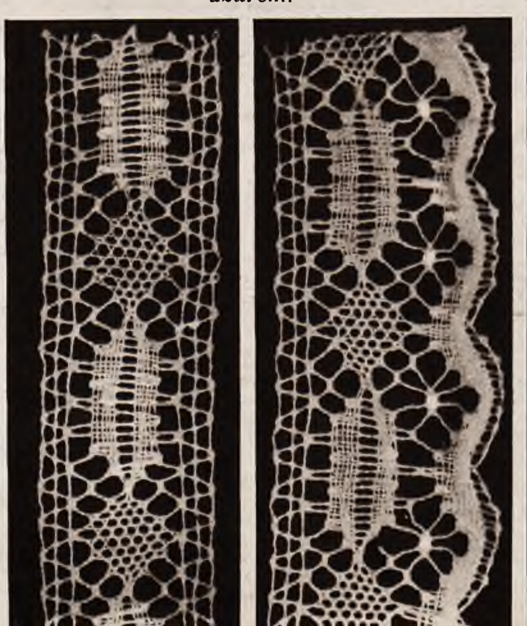
T r z e c i r z ą d e k p a j ą c z k a: od niego rozpoczyna się druga połowa pajączka. W tym celu przerabiamy dwie środkowe parki. Aby one się nie mieszały ze sobą, wbijamy nadprogramową szpilkę poniżej punktu —y, prostopadle do niego, ewentualnie nawet umieszczamy ją chwilowo w punkcie z. Po obu bokach nadprogramowej szpilki mamy po dwie parki, które też przerabiamy, zaczynając od prawej strony. Po przerobieniu obu parek z prawej strony, prawą parkę podpinamy na boku poduszki. Po przerobieniu obu parek z lewej strony, podpinamy lewą parkę również na boku poduszki.

C z w a r t y r z ą d e k p a j ą c z k a: przerabiamy pozostałe w środku przy szpilce dwie parki. Wyrównujemy cały pajączek, biorąc do rąk wszystkie cztery pary, z których został wykonany. Szpilki w punkcie —y nie ruszamy, gdyż ona zachowuje punkt środkowy pajączka, natomiast poniższą szpilkę, która służyła tylko do rozgraniczenia parek prawej i lewej strony, usuwamy zupełnie.

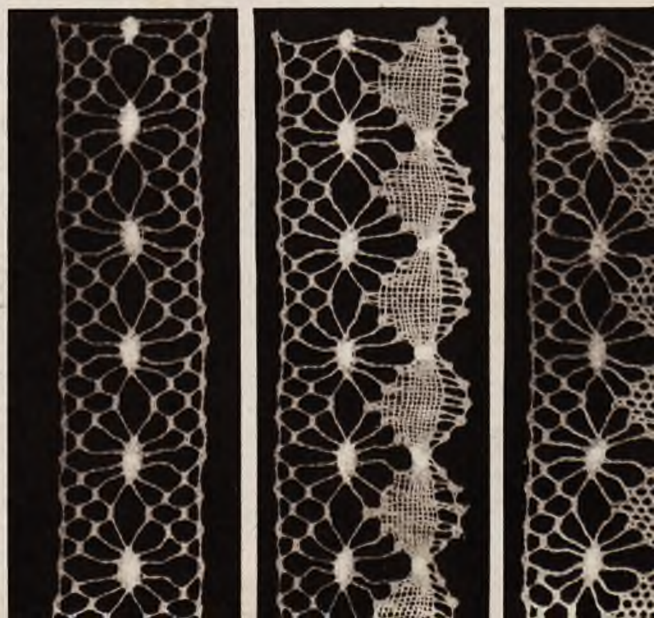
Po skończeniu pajączka parki z lewej strony odpinamy na bok, a przerabiamy dziurki z prawej strony. Parka lewa z punktu —h oraz prawa górna od pajączka tworzą punkt —m. Parka prawa z punktu —h i parka prawa z punktu —m, tworzą punkt —n, na kraju wstaweczki. Lewa parka z punktu —m i niższa prawa parka pajączka dają punkt —o, z którego prawa parka przerabia z parkami punktu —n punkty p—r, które czekają następnie na wykończenie lewej strony wstaweczki, by potem posłużyć do wykonania pajączka w punkcie —z.

Z lewej strony tworzymy z parek, otrzymanych z pajączka punkty s—u ,oraz dalsze t—w—x, po których następuje wykonanie pajączka w punkcie—z. Dalszy ciąg wstawki powtarza się, kontynuując naprzemian: dziurki i pajączki.

Od lewej: Wstawka i koronka z zastosowaniem pajączków, siekanki i cerowanki ażurem.



Od lewej: Wstawki klockowe z pajączkami o sześciu parkach, oraz stosowne do niej koronki z ząbkami ściegiem płócienkowym, druga zaś ściegiem siekanym.





Kiedy dotykam stopą rozpalonego niemal do żaru, piasku na plaży nadmorskiej, przypominają mi się początki dzisiejszego obuwia, które od pierwszej podeszwy taką wzięło rozpiętość, jaka sięga od grubego obuwia dla pracy zawodowej, poprzez wszystkie finezje bucików miejskich, aż do ażurowego pantofelka gumowego, ochraniającego mi właśnie stopy od spalenia gorącym piaskiem.

Tenże sam powód — ochrona nóg przed rozpalonym piaskiem afrykańskim — dał początek dla pierwszego obuwia, jakie z historji znamy, a to u starożytnych Egipcjan, którzy pletli z grubego łyka podeszwy, przytrzymywane na nogach rzemieniem. To były początki obuwia.

Grecy za czasów Homera posługiwali się już obuwiem skórzanem, a Rzymianie doprowadzili rzemiosło szewskie do takiej doskonałości, że obuwie stało się przedmiotem zbytku, wykonywanym z barwionej na różne kolory skóry, z ozdobami ze złota i srebra.

Wieki średnie używają już także sukna i filcu do wyrobu obuwia, które przybierało coraz kapryśniejsze formy przez wydłużenie stopy aż do t. z. formy ptasiego dzioba. Im ten był dłuższy, tem nietylko był elegantszy, ale też świadczył o zamożności swego właściciela. Może od tych też czasów datują się powiedzonka o szerokiej stopie życia lub poznawaniu pana po cholewach. W każdym razie w wieku XIV regulowały długość stopy obuwia dla różnych stanów — przepisy!

Król-słońce, Ludwik XIV, wyniósł rzemiosło szewskie do wyżyn sztuki. Koronki, klamry, kokardy, hafty złotem i srebrem, były nieodzownem wykończeniem obuwia wytwornych galantów i dam. Najważniejszym elementem w dziejach obuwia było wprowadzenie w tym właśnie czasie wysokich drewnianych obcasów, nad któremi dziwowali się współcześni, nie mogąc zrozumieć pięknej pani Pompadour, jak mogła zdobywać się na słodkie minki, uwięziona w ciasnym pantofelku z nadmiernie wysokim obcasem.

Odwrotem od nich były czasy empiru, głoszące powrót do helleńskiej prostoty. Wróciły sandałki greckie na niskim obcasie, wygodne, nie deformujące nogi, higjeniczne i podporządkowane wzorom antycznym.

Losy nowoczesnego obuwia rozwijają się nam przed oczyma. Wysokie buciki i wysokie obcasy przedwojenne ustąpiły miejsca obuwiu sportowemu, od którego poczyna się nowa era wygodnego i higjenicznego obuwia. Jego zasady głoszą, iż względy zdobnicze muszą ustępować miejsca wygodzie, która chroni nogi od deformowania i obrzydzających życie nagniotków. Jakżeby inaczej mogła ukazać się piękna pani z lakierowanemi paznokietkami na plaży, czy w sandałku balowym?...

W zakresie estetyki obuwia poszliśmy bardzo naprzód, czego najlepszym dowodem są buciki ze wszystkich możliwych materjałów, dostosowywane do każdego rodzaju ubioru, co daje prawdziwą harmonję środków wyrazu nowoczesnego stroju.

Mewa.

Powyżej: Pantofelki z końca XVIII-go wieku przypominały cack. ze skóry.



Na prawo: Najnowsze dziwactwa mody w zakresie obuwia: obcasy sprężynowe, miały przyczynić się do ułatwienia lekkiego chodu, lecz okazały się niepraktyczne.



Na prawo: Egipcjanki nosiły nadwyraz oryginalne sandałki, związane łykiem.

EWOLUCJA PANTOFELKA



Powyżej: Nowoczesne kreacje pantofelków miejskich i plażowych.



Powyżej: Pantofelki z ciemnego zamszu nie stracą swego uprzywilejowanego stanowiska.





Powyżej: A oto jeszcze jeden model estetycznych i praktycznych pantofelków zamszowych z obszyciem skórzanem.

Na lewo: Ostatnie paryskie modele — od lewej: sandałek ze skórki chevreau, pantofelki ze skóry daniela w kombinacjach chevreau.

Fot. International Press Photo.



Klub »wodnych pcheł«

„Pchły wodne" wracają do przystani...

Już dawno namawiali mnie przyjaciele, bym raz wreszcie wziął udział w ich wyprawie campingowej. Roztaczali przed memi oczami obraz nieziemskiej zabawy; zapewniali o niezwykłej malowniczości okolicy, do której następna wyprawa zdążała; wreszcie specjalnie dla mnie wpisali na listę członkiń obozu... pewną sympatyczną szatynkę i tem mnie do reszty przekonali. Dosyć na tem, że rankiem ostatniej soboty załadowaliśmy na dwa samochody namioty, torby z naczyniem oraz paczki z żywnością i rozpoczęliśmy nowożytną robinzonadę na lądzie.

Trasa wycieczki prowadziła przez słabo zalesione pagórki; potem równiną, na której napróżno szukać było można skrawka cienia. Słońce, które tymczasem zdążyło osiągnąć zenit, prażyło niemiłosiernie i w jego palących promieniach topniał szybko niedawny mój zapał do tej sielskiej podróży.

Po godzinie uciążliwej jazdy dotarliśmy wreszcie do leśnej gęstwiny. Pierwsze chwile postoju, spędzone na wilgotnym mchu, który porastał brzegi wijącego się wśród drzew strumienia, przypomniały mi żywo studenckie jeszcze wyprawy. Roześmiane twarze mych towarzyszy powoli oddalały się i chowały za gęstniejącą zasłonę jakby z mgły i na ich miejsce wypłynęły z mroków zapomnienia fizjognomje kolegów z ławy szkolnej. Dawne, tak bardzo w czasie odległe fragmenty beztroskiego życia odżyły w mej pamięci i przedefilowały przed oczami, niczem najbarwniejszy film, który chciałoby się oglądać lata całe.

Przejmujący głos syreny samochodu, wzywający do dalszej drogi zbudził mnie z głębokiej zadumy. Z prawdziwym żalem opuszczałem nasz pierwszy obóz, nie przeczuwając, że już niezadługo przyjdzie mi rozkoszować się nowemi, nieznanemi dotąd wrażeniami...

* * *

Od wczesnego rana niebywały ruch panuje nad brzegiem jeziora... Poprzez lekko z wiatrem falującą zasłonę mego namiotu obserwuję postacie, które z samochodu wyładowują jakieś długie przedmioty w płóciennych futerałach. Początkowe przypuszczenie, że to części składaków, na których mieliśmy się przeprawić na drugą stronę jeziora, szybko ustępuje miejsca optycznemu wrażeniu, jakie wywiera na mnie kształt nieznanych mi przyrządów, połyskujących w promieniach słońca metalem wydłużonych cylindrów.

Zaintrygowany zrywam się z polowego łóżka i pędem biegnę na polanę, gdzie odbywa się montaż tajemniczych rur. Z pobieżnej obserwacji wnioskuję, że są to duże pływaki, ale jeszcze zawsze nie mogę wpaść na to, jak mają być użyte.

— Na cóż wam te rury? — zadaję pytanie pierwszemu.

— Zaraz zobaczysz — pada odpowiedź. — Weź się także do roboty! Te dwa pakiety, leżące na trawie, są przeznaczone dla ciebie i twej sympatycznej towarzyszki. Musi-



Za chwilę „narty wodne" znajdą się umocowane na nogach odważnych sportsmanów...

Poniżej: W drodze na brzeg jeziora...

Poniżej: Po kilku ćwiczeniach można się bez trudu utrzymać na powierzchni wody...





cie przedewszystkiem zdjąć futerały, a potem róbcie to samo, co my.

Już dawno cała gromada była gotowa ze swoją robotą, a ja ani rusz nie mogłem doprowadzić mego montażu do szczęśliwego zakończenia. Skompromitowałem się setnie nietylko wobec mieszkańców obozu, ale, na czem musiało mi najwięcej zależeć, przed... ową szatynką, którą nieopatrznie oddano mej niefachowej opiece. Toteż gniew jej był całkiem zrozumiały. Nie chciała się więcej patrzeć na mnie i wybrała sobie jakiegoś dryblasa, mnie na złość właśnie tego, którego najmniej znałem z całego towarzystwa. I naturalnie wcześniej była gotowa odemnie. — Wszyscy już mieli owe rury umocowane na nogach i niby jakieś przedpotopowe poczwary wolno posuwali się po piaszczystem wybrzeżu jeziora. Wreszcie udało mi się wdziać te „wodne buty" i dołączyć do całej gromady. Ćwiczenia, które teraz się rozpoczęły, śmiało można było porównać z pierwszą su-



Na lewo w kole: I kobiety nie chcą pozostać w tyle w nowej gałęzi sportu.

Wszystkie zdjęcia: **PRESSE - PHOTO** Berlin.



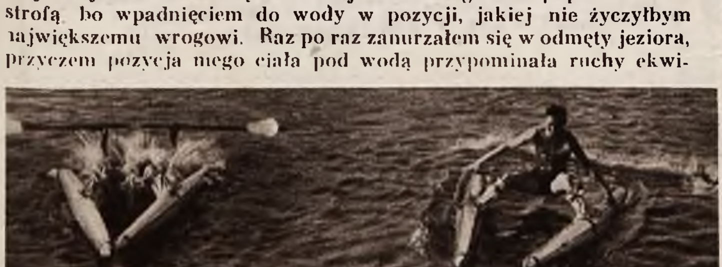
Już za chwilę cała gromada znajdzie się na wodach jeziora...

chą lekcją jazdy na nartach, z tą jednak różnicą, że różne telemarki i christianje musiały być naturalnie dostosowane do warunków wodnego terenu.

Na lądzie szło nam niezgorzej; ale już pierwsze kroki we wodzie, a raczej na jej powierzchni upewniły mnie, że teraz dopiero rozpocznie się właściwa część tragifarsy, ze mną w tytułowej roli. Ostrożnie powróciłem na piasek i z brzegu obserwowałem całe towarzystwo. Mój zastępca u boku owej szatynki, niesympatyczny dryblas popisywał się niebywałą techniką w jeździe na tych wodnych nartach. Nie mogłem dość się nadziwić, że taka „tyka" bez wyraźnego wysiłku utrzymuje się pewnie na wodzie — co więcej, wykonuje „karkołomne" w mojem pojęciu ewolucje, posługując się jedynie wiosłem, podobnem do tego, jakiego używają kajakowcy, tylko conajmniej dwa razy dłuższem. Postanowiłem nauczyć się za wszelką cenę tej dziwnej jazdy i uprosiłem jednego z bardziej zaawansowanych, by mi udzielił niezbędnych wskazówek. Oddaliliśmy się więc od całej ćwiczącej gromady i na uboczu, zasłonięci cyplem porosłym drzewami, rozpoczęliśmy tę pamiętną dla mnie lekcję. Po kilku minutach wiedziałem już, że pierwsze kroki na nartach, to fraszka w porównaniu z temi djabelskiemi sztuczkami na ich wodnem wydaniu. Najtrudniejszą rzeczą okazało się zmuszenie nóg do tego, by się razem trzymały. Najmniejsze nawet uchybienie tej zasadzie groziło poprostu katastrofą, bo wpadnięciem do wody w pozycji, jakiej nie życzyłbym największemu wrogowi. Raz po raz zanurzałem się w odmęty jeziora, przyczem pozycja mego ciała pod wodą przypominała ruchy ekwilibrysty, stojącego na głowie. Nogi moje bowiem, przytwierdzone na dobre do cylindrów, pozostawały na powierzchni wody i były jakby uwięzione w potrzasku. Wydostanie się spowrotem na powietrze zawdzięczałem za każdym razem memu nauczycielowi, który dopiero po kilku godzinach mógł się poszczycić postępami swego ucznia.

Jeszcze tego dnia po obiedzie pływałem „na rurach" z szatynką i to z wprawą, którejby się nie powstydził nawet ów przeklęty dryblas. Przeświadczenie, że nie dałem się zakasować przez niego, dodawało mi odwagi do ćwiczeń najbardziej efektownych ewolucyj. Tego wieczoru zostałem też na stałe przyjęty do grona członków „Klubu wodnych pcheł".

Rodney.





Powyżej: Pierwsze kroki na „nartach wodnych" bynajmniej nie należą do łatwych wyczynów sportowych...

Na prawo: Montaż „nart wodnych" nie nastręcza większych trudności...

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

W dzisiejszym numerze podajemy aktualne przepisy na konserwy owocowe i jarzynowe, pomijając częściowo przepisy, odnoszące się do menu tegotygodniowego, aby naszym Czytelniczkom umożliwić wykorzystanie bieżącego okresu na zaopatrzenie spiżarni w tak pożyteczne zapasy. **Szyc-Korska.**

ZUPA Z FASOLKI SZPARAGOWEJ. 10 dkg oczyszczonej fasolki kraje się drobno, odparza i gotuje w litrze wody z solą i szczyptą cukru. Pół szklanki kwaśnej śmietany rozkłóca się z łyżeczką mąki, zalewa gotującą się fasolkę, mieszając, aby się grudki nie tworzyły. W wazie rozciera się żółtko z kilku łyżkami śmietany i łyżeczką siekanego kopru, zalewa zupą i dorabia smak sokiem cytrynowym, solą i cukrem. Zupa ta może być również podana na zimno.

ZUPA PORZECZKOWA JAKO CHŁODNIK. Litr porzeczek rozgotowuje się z szklanką wody i przeciera przez włosiane sito. Następnie dodaje się ćwierć litra wina zwykłego lub jabłecznika, dorabia smak cukrem, zagotowuje i zagęszcza łyżką mąki ziemniaczanej, rozrobionej w troszce wody. O ile mąka ziemniaczana nie jest lubiana, dodaje się płytkę żelatyny, rozpuszczoną w troszce gorącej wody. Zupę wystudzoną stawia się na lód i podaje bardzo zimną z biszkoptami.

KREM Z KWAŚNEGO MLEKA. Litr dobrego kwaśnego mleka i 1/8 kwaśnej śmietany ubija się na pianę, dodając po trosze 10—12 dkg mączki cukrowej z wanilją. Do ubitej piany dodaje się 6 płytek czerwonej żelatyny, rozpuszczonej w paru łyżkach wrzącej wody. Przed zmieszaniem przestudza się żelatynę. Ubity po raz wtóry krem wlewa się do szklanej salaterki i zastudza na lodzie. Przed wydaniem ubiera się krem waflami, biszkoptami lub kruchemi półksiężycami.

TORT PORZECZKOWY. 14 dkg masła uciera się na pianę, dodając po jednemu 6 żółtek i po trosze 20 dkg cukru. Następnie dodaje się pianę z 6 białek i 6 dużych łyżek tartych biszkoptów lub suchej babki, wkońcu wsypuje się filiżankę ładnych, czysto obranych porzeczek. Tort piecze się w formie masłem natartej i bułką wysypanej w niezbyt gorącym piecu.

LEGOMINA GRYSIKOWA Z POZIOMKAMI. 12 dkg najcieńszego grysiku gotuje się w litrze mleka z szczyptą soli i cukrem do smaku, oraz 5 dkg tartych migdałów i troszką startej skórki cytrynowej. Do ugotowanej gęstej masy dodaje się pianę z 2—3 białek, miesza, nalewa do pierścieniowej formy i zastudza na lodzie. Krąg grysikowy wyrzuca się na półmisek, a środek napełnia się poziomkami wymieszanemi z cukrem. Całą legumine ubiera się bitą śmietaną i wybranemi poziomkami.

SOK WIŚNIOWY. Wydrelowane z pestek wiśnie przesypuje się cukrem w wadze połowy ilości wiśni. Tak przygotowane pozostawia się około 20 godzin przykryte w spokoju, następnie zagotowuje się i przecedza przez czyste płótno. Do soku dodaje się cukru w połowie ilości poprzednio danej, zagotowuje dwa razy, odstawiając za każdem zagotowaniem na kraj blachy. Sok zlewa się do 1/4-litrowych czystych flaszek popłókanych spirytusem. Korków używać należy nowych i wyparzonych. Przed użyciem osypać korek proszkiem salicylowym. Pozostałe wiśnie przesmaża się z dodatkiem cukru na powidełka.

SUFLETY OWOCOWE. Do 50 dkg owocu przetartego przez włosiane sito dodać 20 dkg cukru oraz 2 białka i łyżkę soku cytrynowego, aby kolor pozostał niezmieniony, następnie ubijać na lodzie, aż się utworzy gęsta biaława masa, dodać wtedy pianę ubitą z 4 białek, wymieszać i ułożyć na ogniotrwałym półmisku, posypać cukrem kryształowym i jeszcze zapiec szybko w piecyku. Suflet ubiera się surowemi lub smażonemi owocami takiemi, z jakich pianka była robiona. Osobno podaje się kremową śmietankę ubitą z cukrem.

GALÉE Z PORZECZEK. Obrane porzeczki wyciska się w prasie. Uzyskany sok gotuje się bez cukru przez 10 minut, następnie wsypuje się tyle cukru, ile ważył wyciśnięty sok i gotuje znów przez 10 minut. Gorące gelee zlewa się do słoików: ostudzone, tworzy natychmiast galaretę, wtedy się je owiązuje i przechowuje w suchem i chłodnem miejscu.

ZIELONY GROSZEK SUSZONY. Każda jarzyna przeznaczona do konserw musi być świeża wprost z ogrodu, zbierana w suchej porze, tylko taka nadaje się do konserwowania. Każda inna sfermentuje, nie utrzyma się aniodo zimy. Groszek zielony, przeznaczony do suszenia, przebiera się dokładnie z zepsutych ziarnek, zagotowuje następnie w słonej wodzie, odcedza, przelewa zimną wodą i wysypuje na czystą ściereczkę, o ile się ta przemoczy, na drugą i z tą na ciepłą (nie gorącą!) blachę, przerzucając go tak, aby ziarnka szybko obeschły. Groszek ma obsychać w letniej temperaturze przez 5—6 dni, poczem wsypuje się go do pudełka o dziurkowanej pokrywie i pozostawia w przewiewnem, suchem miejscu, przyczem pudełkiem należy często potrząsać. Przed użyciem rzuca się potrzebną ilość na wrzącą wodę, a gdy zmięknie, przelewa się wodą zimną i zaprawin zasmażką lub dodaje do marchewki, wedle upodobania.

AS
KUPON konkursu na najnieprawdopodobniejsze głupstwo
numer 28 z dnia 12-go lipca 1936 roku.

Mały bar domowy



Bar domowy, to ciągle jeszcze nowość, wielu gospodarstwom nieznana, ale też upragniona przez tych, którzy już poznali praktyczne strony tej inowacji. Reprodukujemy skromny model baru, obliczonego na niezbyt wygórowane potrzeby domowe. W letnim okresie, gdy potrzebna jest większa ilość chłodzących napoi, taki bar domowy oddaje szczególnie wielkie usługi.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 29 — **Lipiec** — Dni 31
Niedziela **12** Jana Gwalb.	Zupa z drobiu z groszkiem ptysiowym. Budyń z kalafiora. Kaczki pieczone z jabłkami. Krem poziomkowy z bitą śmietaną. Kolacja: Zimny drób z sałatką mieszaną.
Poniedziałek **13** Małgorzaty	Zupa z fasolki szparagowej. Rizotto z zielonym groszkiem. Zraziki cielęce w śmietanie z ziemniaczkami. Kompot mieszany. Kolacja: Świeże grzybki z ziemniaczkami.
Wtorek **14** Bonawentury	Chłodnik owocowy z biszkoptami. Marchewka z groszkiem i krokietkami z bułki. Polędwica wieprzowa z duszoną kapustą. Kruchy placek z wiśniami. Kolacja: Wątróbki gęsie, duszone z ziemniaczkami.
Środa **15** Henryka	Zupa szparagowa. Cielęce ozorki w sosie cytrynowym z ryżem. Kotlety cielęce z sałatą mieszaną /głowiasta i ogórkowa/i ziemniaczkami. Galaretka z agrestu. Kolacja: Omlety z grzybami.
Czwartek **16** NPM. Szkapl.	Zupa porzeczkowa. Fasolka szparagowa z masłem. Kurczęta duszone po polsku w śmietanie z ziemniaczkami.Strudel z borówkami. Kolacja: Jaja w szklance, młody bób.
Piątek **17** Aleksego	Barszcz zabielany zimny z jajem. Kapusta włoska z ryżem i groszkiem. Karp w sosie koprowym z makaronem. Parzone knedelki z wiśniami. Kolacja: Ziemniaczki z kwaśnem mlekiem.
Sobota **18** Szymona z Lipn.	Zupa jarzynowa czysta. Gołąbki z ryżem. Zrazy siekane z buraczkami i ziemniaczkami. Suflet owocowy. Kolacja: Pierożki z borówkami.

HOCKI-KLOCKI



PASAŻER O CIĘŻKIEJ DECYZJI.

— Niechże się pan wreszcie zdecyduje u licha na jakieś letnisko!

SPRYTNY DOZORCA.

Przy najlepiej obranej drodze dozorca musi zrobić conajmniej 1900 m. Jeśli zacznie swój obchód naprzykład w B, wówczas musi przejść drogę BADGDEFCBEHLMJFJHGKL.

(Dokończenie ze str. 8).

go ujęto prąd Anio w formie kilkunastu silnych wodospadów, niekiedy długich na 200 m. Augustus i Maecenas wznieśli dla siebie w Tivoli wille. W przeciwieństwie do „Villa d'Este" stanowi ta część widok porywający raczej patosem niż dekoracyjnością. Surowe w wyrazie aleje cyprysowe prowadzą do miejsc, gdzie huczą opadające zwały wodne. Oślizgłe schodki, omszałe ścieżki prowadzą do coraz to nowych spadów, grot i galeryj. Z jednego tarasu rozlega się widok na świątynię Sybill, romantycznie ustawioną nad urwiskiem wzgórza.

W pewnych dniach o godzinach wieczornych panuje w Tivoli ożywiony ruch. Na Piazza dell'Plebiscito gromadzą się gęsto eleganckie limuzyny i autobusy Cook'a. Stoliki kawiarni i cukierń, zajmujące całe chodniki, obsadza tłum międzynarodowy lub rzymski świat elegancji. Ta część Tivol, której wdzięk należy do współczesności, umożliwia obserwacje czysto snobistyczne, które wnoszą do życia podróżującego pewien posmak aktualności.

Opodal Tivoli znajdują się romantyczne szczątki z II wieku po Chr., rezydencji Hadrjana zwane „Villa Adriana". Historycy ochrzcili je mianem majstersztyku w budownictwie antycznem. Znajdujemy tu ruiny bazyliki, stadjonu, kilku term, teatru greckiego, bibljotek i rozlegle pomyślanych zabudowań mieszkalnych. Piękno położenia zostało równie zajmujące jak dawniej. Roztacza się z tego miejsca panoramiczny widok na Rzym i ręka niejednego artysty utrwaliła na płótnie malowniczy motyw pól z lirycznym akcentem ruin, strzelistych topol i rozedrganą w zachodzącem słońcu, na ostatnim planie krajobrazu, kopułę św. Piotra. Pełna niezwykłej powagi cyprysowa aleja oddziela ten zaklęty w dziwnym uroku zakątek od szlaków dzisiejszości.

Ludwik Tyrowicz.

Rozwiązania z N-ru 27-go.

KWADRATY I SZEŚCIANY.

Jeśli zbudujemy liczbę 625 m^6 i drugą dwa razy większą, to możemy otrzymać dowolną ilość rozwiązań. Tak więc naprzykład dla $m = 1$, otrzymujemy odpowiedź $625^2 + 1250_2 = 1025^3$, a $625^3 + 1250^3 = 16875^2$.

KOLARSKI WYŚCIG.

Szwarc dogoni Szmidta po 12 minutach od chwili startu.

PRZYJĘCIE IMIENINOWE.

Oznaczywszy liczbowo kapelusze

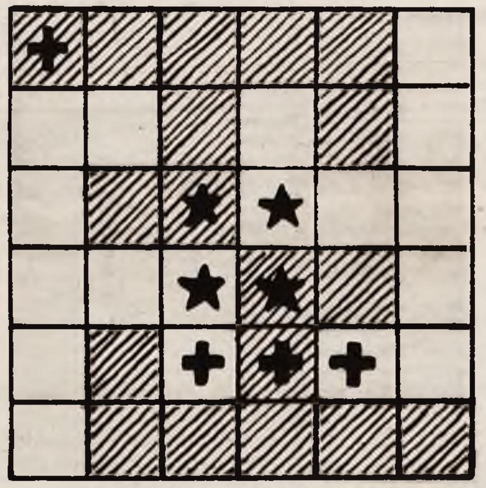
1 2 3 4 5 6 7 8 9 0 — —

podajemy kolejne zmiany

1 — — 4 5 6 7 8 9 0 2 3
1 7 8 4 5 6 — — 9 0 2 3
1 7 8 — — 6 4 5 9 0 2 3
1 7 8 0 2 6 4 5 9 — — 3
— — 8 0 2 6 4 5 9 1 7 3

gdzie oczywiście cyfry parzyste oznaczają kapelusze ciemne, nieparzyste — jasne.

GWIAZDY I KRZYŻE.



Rozwiązanie zadania wskazuje rysunek.



W lwowskim teatrze „Rozmaitości“ graną jest obecnie lekka komedja w trzech aktach **P. Franka** p. t. **„Va Banque“**. Jest to stara, dobrze bywalcom teatralnym znana komedja, posiadająca dawniej tytuł „Grand Hotel“. W komedji tej główną rolę odtwarza doskonale Kazimiera Skalska, która znana dotąd Lwowianom z filmu „Czy Lucyna jest dziewczyną“ zdobyła obecnie bezpośrednio olbrzymią sympatję. — Partnerem Skalskiej jest Niewiarowicz, równocześnie reżyser sztuki, który podobnie jak Skalska, zbiera oklaski przy otwartej scenie. Inne role grają solidnie Pośpiełowski, Lewicki, Krzemieński i Guttner.

Teatr Krakowski im. J. Słowackiego wystawił obecnie nieznaną w Polsce komedję czeskiego pisarza **Karola Czapka** p. t. **„Rabuś“**.



Kazimiera Skalska gra główną rolę w komedji „Va Banque“ we Lwowie.

Bohater sztuki jest symbolicznem uosobieniem donżuanerji, która tkwi w każdym człowieku i nieraz podświadomie budzi się już we wczesnej młodości. — Atmosferą sztuki i sposobem ujęcia zagadnień przypomina Czapek z naszych pisarzy najbardziej Szaniawskiego.

Ciekawy utwór literacki Czapka otrzymał na krakowskiej scenie bardzo staranną oprawę malarską Karola Fryczа. Reżyser Biegański dobrze wyreżyserował całość, a zarówno główne role sztuki jak i drobne epizody zagrane były przeważnie doskonale. Na czoło wykonawców wysunęli się Pawłowska, Jaworska, Kondrat, Modzelewski i Woźnik, inne zaś role starannie zagrali Klońska, Bednarska, Fabisiak, Woźniak i i.

W **Poznaniu** grają jeszcze oba teatry dramatyczne. **Teatr Polski** przygotowuje najnowszą komedję Bus Feketego **„Z miłości niedostatecznie“**, teatr zaś **„Nowy“** występuje z premjerą komedji popularnego pisarza. Henryka Zbierzchowskiego. Jego **„Małżeństwo Loli“** uświetni wykonaniem głównej roli ulubiony komik, Władysław Walter.

W Teatrze Letnim w Warszawie graną jest obecnie „Podwójna buchalterja“, komedja muzyczna w 3 aktach E. i A. Golza w przeróbce i z piosenkami Marjana Hemara. Komedja cieszy się dużem powodzeniem, a Boy-Żeleński sprawozdanie swe z niej zaczyna stwierdzeniem: „Ta wiedeńska komedyjka, zręcznie przyprawiona przez Hemara, rozgrywająca się między Warszawą a Tomaszowem, wznosi się dzięki udziałowi Dymszy do jakiegoś chaplinowskiego stylu“.

Komedyjka, którą Hemar, zachowując jej umyślną naiwność, przypieprzył sporą dawką szelmowskiego dowcipu, grana jest, jak dalej stwierdza Boy-Żeleński, przyjemnie i wesoło. Brochwiczówna i Grossówna, Janecka i Magierówna grają bardzo miło, a szereg ucieszných figur dają pod doświadczoną reżyserją Waneckiego Łapiński, Bogucki, Karczewski, Orwid, Dereń i Opaliński.

(b).

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

Przed samemi „Dniami Krakowa“ ukazała się na półkach księgarskich niezwykle pożyteczna publikacja zarówno ze względów propagandowych jak i turystycznych. Wytworna zas szata tej publikacji, każe ją zaliczać do działu „książek pięknych“. Nakładem Polskiego Zw. Turystycznego ukazało się mianowicie album luksusowe **„Stary Kraków“**, którego teksty opracował znakomity znawca starego Krakowa, dr. **Jerzy Dobrzycki**. „Miastem żywych kamieni“ nazwał Dobrzycki gród podwawelski, którego dzieje i zabytki podane są ze względów propagandowych w językach niemieckim, francuskim i angielskim.

Ozdobą książki jest zarówno dobór przepięknych ilustracyj, wykonanych doskonałą techniką, jak i specjalny układ graficzny i ozdobniki całości. — To luksusowe wydawnictwo otrzymało układ graficzny, opracowany przez art. Seiferta.

Książka ta jest naprawdę cenną pamiątką z Krakowa i dokumentem jego wspaniałej historji i wspaniałego piękna.



od dnia 12 lipca do dnia 18 lipca 1936 r.

Niedziela, 12 lipca.

8.00: Audycja poranna.
9.00: Transmisja nabożeństwa z Torunia.
12.03: Poranek muzyczny z Wilna.
14.30: Audycja dla wsi — słuchowisko p. t. „Ojcowizna“.
15.30: Muzyka rozrywkowa z płyt.
16.30: Reportaż z życia.
17.00: Koncert solistów.
18.00: Teatr wyobraźni u obcych — słuchowisko p. t. „Pozytywka“.
18.30: Koncert rozrywkowy.
20.25: Co czytać.
21.00: „Na wesołej lwowskiej fali“.
21.30: „Wieczór wśród górali“ — suita Tadeusza Sygietyńskiego.
22.20: Muzyka salonowa i taneczna.

Poniedziałek, 13 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Muzyka operowa z płyt.
15.45: „W co się będziemy bawili“ — transm. z ogródka dziec. w Wilnie.
16.00: Koncert z Ciechocinka.
16.45: „Wakacje bez wyjazdu“ — pogadanka.
17.00: Koncert w wyk. Czesławy Perenson.
17.30: Koncert Tow. Mandolinistów „Maska“ z Wilna.
17.50: „Myśliwska prawda“ — pogadanka.
19.00: Audycja strzelecka.
19.30: Stare tańce.
19.55: „Album starych widokówek“ — lekka audycja muzyczna.
20.30: „Pod urokiem Prowancji“, feljeton.
21.00: Koncert wieczorny z udziałem Mieczysława Saleckiego.
22.15: Koncert orkiestry Marynarki Wojennej i muzyka taneczna.

Wtorek, 14 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Koncert zespołu salonowego Eugenjusza Raabego.
16.00: Fantazje — koncert z płyt.
16.45: „Car Szujski w Warszawie“ — odczyt.
17.00: Koncert z Parku Wilsona w Poznaniu.
18.00: „Spacer za rogatki Warszawy“ — pogadanka dla dzieci starszych.
19.00: Recital śpiewaczy Ady Hecht.
19.30: Koncert Kapeli Ludowej Feliksa Dzierżanowskiego z przyśpiewkami.
20.30: „Humor literatów poznańskich z XIX wieku“ — szkic literacki.
21.00: Koncert muzyki francuskiej.
22.15: Muzyka taneczna z Ciechocinka i Café-Club'u.

Środa, 15 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Muzyka lekka i taneczna z basenu w Ciechocinku.
15.45: „Od kominiarczyka do zegarmistrza“ — słuchowisko dla dzieci.
16.15: Muzyka salonowa w wykonaniu Małej Orkiestry Polskiego Radja.
17.00: „Pieśni wiosenne“ w wykonaniu Sławy Gogojewicz.
17.30: Muzyka.
17.50: „Adam Czartoryski“ — odczyt.
19.00: Muzyka salonowa.
19.30: „Czepiny“ — obraz z „Wesela na Górnym Śląsku“.
20.00: Muzyka z płyt.
20.30: „Wędrówka mikrofonu po prowincji“ — „Nieziszczalny mit ciszy“ — transmisja z podwórka w Łodzi.
21.00: IV audycja z cyklu „Kandydaci do Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego“.
21.30: Recital skrzypcowy Ireny Dubiskiej.
23.00: Muzyka taneczna.

Czwartek, 16 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Koncert solistów z płyt.
12.55: „W obronie przed klęską pożarów“ — pogadanka.
15.45: „Hokus pokus dominikus“, audycja dla dzieci.
16.00: Koncert z Ciechocinka.
16.45: Odczyt wojskowy.
17.00: Koncert orkiestry kameralnej.
19.00: „Panienka radjowa“ — premjera słuchowisko w Teatrze Wyobraźni.
19.30: Recital fortepianowy Marji Bilińskiej.
20.00: Hiszpańska pieśń ludowa.
21.00: Nasze pieśni — pieśni Feliksa Nowowiejskiego.
21.30: Kwintet fortepianowy — c-moll, op. 61 Władysława Żeleńskiego.
22.15: Muzyka salonowa i taneczna.

Piątek, 17 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Zespół salonowy Pawła Rynasa.
16.00: „Na cześć słońca“ — audycja muzyczna.
16.45: „Wolna szkoła wojskowa w Warszawie w latach 1914—1915“.
17.00: „Wschodnie nastroje“.
19.00: Koncert symfoniczny z Wawelu w Krakowie.
21.05: Muzyka lekka w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
22.15: Koncert laureatów wiedeńskich.
23.00: Muzyka taneczna.

Sobota, 18 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Koncert muzyki lekkiej w wykonaniu orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
14.30: Orkiestra Marka Webera i Jeanette Mac Donald.
15.45: „Ze śpiewem przez Polskę“ — audycja muzyczna.
16.00: Koncert solistów.
17.00: Koncert orkiestry symfonicznej z Parku Wilsona w Poznaniu.
17.50: Puszcza rudnicka — pogadanka.
19.00: „Na zakończenie tygodnia“ — wieczór muzyki lekkiej.
20.15: Audycja dla Polaków zagranicą: „Poznajmy Wileńszczyznę“.
21.00: Recital śpiewaczy Stani Zawadzkiej.
22.15: Kwintet Salonowy Stefana Rachonia oraz muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.